

Rok XXXII

Nr e-136 (332)

Luty 2018

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

Góry słońcem malowane.	Krzysztof Gdula	3
-----------------------------	-----------------------	---

OJCZYSTE SZLAKI

Piaskowa Góra i.....	Juliusz Wysłouch	6
Miasto znowu sławne dzięki saniom	Tomsz Kowalik	9
Koniniana historyczne i współczesne	Bogumił R. Korzeniowski	11
Łazienkowski Ogród Naukowy	Tomasz Kowalik	14

TRASA MIESIĄCA

Niebieski szlak z Dańczowa do Kulina Kłodzkiego przez Darnków	Bartosz Skowroński	16
---	--------------------------	----

GLOBTROTER

Piryn, Piryn... ..	Witold Komorowski	19
Jelenia Góra w Himalajach	Krzysztof Tęcza	23

PORADNIK TURYSTY

Nieposypane szlaki – odsłona 2017/18.	Juliusz Wysłouch	26
--	------------------------	----

EKOLOGIA NA SZLAKU

Rośliny chronione Sudetów	Krzysztof Tęcza	28
Uroczyste otwarcie wystaw stałych w Muzeum Przyrodniczym	Krzysztof Tęcza	30

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Festiwal Przyjaciół z Gór w Kamienicy	Sławomir Chojnacki	32
Król na Śledzikowej Polanie.	Krzysztof Tęcza	34
Przewodnicy sudeccy gościli w Dworze Liczyrzepy	Krzysztof Tęcza	36
Spotkanie Ludzi Gór na Kamieńczyku 2018	Krzysztof Tęcza	37
Wystawa fotograficzna Tadeusza Biłozora „Symbole wiary i...”	Krzysztof Tęcza	38

RECENZJE I NOWOŚCI

Bochniaków mała ojczyzna	Ryszard M. Remiszewski	39
Elementarz krajoznawczy (bez górali!)	Tomasz Kowalik	41

Na okładce: Schronisko PTTK na Przehybie. Fot. Jan Kania

Góry słońcem malowane

Gdy obudził mnie sygnał budzika, chwilę leżałem przypominając sobie, gdzie jestem. Ach, tak: dom „Kopka”, Czernica, Góry Kaczawskie.

Wyszedłem o godzinie 5.30. Ciemna jeszcze noc, ale na wschodzie widziałem pierwsze nieśmiałe jaśnienie. Świeciły gwiazdy, miał się zacząć kolejny ciepły i słoneczny dzień.

Za cały plan dnia miałem zobaczyć znanych i lubianych miejsc w masywie Księżej Góry pod Bystrzycą i wybadanie możliwości nowego przejścia lasami z wioski Tarczyn na szczyt Pasternika.

Do wioski wiedzie wąska stróżka asfaltu ostro pnąca się po zboczu góry. Stoi tam znak nakazujący jazdę z łańcuchami na kołach i faktycznie, między listopadem a kwietniem lepiej nie próbować jazdy bez stałą zbrojonych kół, nawet na dobrych zimowych oponach. Na górze, pod wioską, jest ładne miejsce widokowe i tam się zatrzymałem dla obejrzenia budzenia się Eos.

W szacie o barwie szafranu spłynęła Eos na ziemię, pisał Homer 27 wieków temu. Wczoraj jakaś mała chmurka przysłoniła oblicze bogini, dzisiaj wstawała piękna, promienna, kolorowa, uśmiechnięta. Chyba ma nowego kochanka – pomyślałem z odrobiną zazdrości, ale nie było we mnie zawiści. Eos jest zbyt piękna, żeby chować do niej urazę. Nawet Wenus długo jej towarzyszyła, a przecież wiadomo, że one obie nie pałają do siebie sympatią.

Gdy wzeszło słońce, zobaczyłem jego odbicie od szyb obserwatorium na Śnieżce. Przez chwilę było silne, jakby świeciło tam drugie słońce. Widok, mimo iż nie pierwszy raz oglądany, zadziwia i czaruje.

Ranek był śliczny. Wiele razy widziałem, jak ładnie oświetla świat niskie słońce, ale dzisiaj patrzyłem wokół, jakbym urodę słonecznego ranka widział po raz pierwszy. Malarz w firmie czasami kładzie nową warstwę bezbarwnego lakieru na malowidła fasad, a wtedy te nabierają świeżości barw i połysku. Dokładnie takim widziałem świat: świetlistym, bajecznie kolorowym, żywym i radosnym. Rosą umyłym. Ta jego radość i mnie się udzieliła,



Ranek na polanie



Kaczawska droga

z uśmiechem rozglądałem się czując w sobie pogodę ducha i radość przeżywania dnia. Gdy idąc lasem na dno doliny wyszedłem na śródlęsną polanę, zobaczyłem prześwieczone słońcem opary rosy, od której trawa była szarosrebrzyście skrząca.

Helios spijał łzy Eos płaczącej nad Memnonem.

Mgiewka świeciła perłową barwą, a sąsiednie drzewa stały w powodzi kolorowego światła. Patrzyłem, robiłem

zdjęcia i znowu patrzyłem chcąc zapamiętać każdy szczegół widoku i każde swoje odczucie.

Później ta odmienność w oświeceniu znikła niepostrzeżenie i dzień, chociaż kolorowy i słoneczny, w porównaniu do ranka wydawał się wyblakły, jakby przepalony silnym słońcem.

Na mapie jest niezalesione przejście z wioski na wzgórze Pasternik, ale w rzeczywistości rośnie tam młody, dziki las, pełen kolczastych roślin i gęstw. Uznając się za pokonanego, wyszedłem na łąki i okrężną drogą dotarłem na wzgórze. Ono broni się przede mną, pomyślałem wspominając próbę, sprzed kilku lat, dotarcia tutaj inną drogą czy raczej innym bezdrożem. Pamiętam ciemny i dziki las porastający strome zbocza jaru i omszałe głązy na dnie. Ładnie tam było, może więc któregoś dnia wrócę do tego lasu...

U podnóża Księżej Góry, najwyższej w okolicy, jest niewielkie, ale uroczo wyglądające bezimienne wzgórze, a po drugiej stronie dna doliny wznosi się Szklarka. Nieco z tyłu, już za masywem górskim, znajduje się odwiedzane przeze mnie miejsce, jedno z najładniejszych w tych górach. Tak oto ustalił mi się plan: najpierw ten uroczy zakątek, później przejście masywu lasem i poznanie obu wzgórz po drugiej stronie.

Falujące łąki i pola, nitki drózek i drzew rosnących nad strumieniami, zagajniki, kępy głogów i róż, ukryte w fałdzie ziemi domy z dachami wystającymi spośród drzew, ciemna ściana lasu opadająca w dolinę i tam niknąca za obłym wybrzuszeniem wzgórza, albo przeciwnie – wznosząca się po stoku i dotykająca nieba. To są moje Góry Kaczawskie i takie są widoki z ulubionego miejsca na stoku Buczyńca.

Wędrówka przez las udała się niemal idealnie. Niemal, bo rozległa gęstwiną jeżyn wyniosła mnie jakieś dwie setki kroków od najkrótszej trasy, ale swoim zwyczajem zawróciłem, żeby lepiej poznać przejście. Warto o nim wiedzieć, ponieważ łączy dwa urokliwe miejsca. To drugie jest wspomnianą bezimienną górką wznoszącą się nad wioską, *vis-à-vis* Księżej Góry. Siedziałem na szczycie pod dębem i najnormalniej nie chciało mi się stamtąd odchodzić. Dlaczego do tej pory tutaj nie byłem? Wzgórze dopisuję do swojej listy najpiękniejszych miejsc kaczawskich.

Od północy horyzont zamknięty jest długim, zalesionym masywem górskim, tylko gdzieś jaśnieją łąki wchodzące na szczyty. Na jednym z takich odkrytych miejsc zobaczyłem grupę wysokich drzew. Przyciągała wzrok ładnym wyglądem, wyróżniała się, wołała. Pójdę tam i spod tamtych drzew spojrzę na wzgórze! – powiedziałem sobie w pierwszym odruchu, ale po chwili patrzenia coś mi zaczęło świtać w głowie. Eureka! Przecież byłem tam nie raz – to drugi, wyższy szczyt Babińca! Ot, skleroza i inny punkt patrzenia.



Bystrzyca i Księża Góra



Na Grodowej, w głębi Stromiec

Szedłem zakolem, chcąc zobaczyć w ciepły dzień pewną przełęcz pamiętaną z wędrówki w śnieżny i mroźny dzień; stałem wtedy na siodle i patrzyłem na rzeźby tworzone w twardym śniegu przez wiatr. Dzisiaj wyglądała zupełnie inaczej i ładniej, ale porównując widoki ucieszyłem się nie odczuwając niechęci na myśl o zimowej wędrówce, a nawet doceniając jej urodę. Inną, surową, czasami trudną w odbiorze, ale istniejącą i znaną mi, swojską.



Spod Buczyńca na zachód

Poznałem Szklarkę, też ładne wzgórze, a na niej wielkie połacie dzwonników, wiele nieznanym mi gatunków kwitnących roślin i – jak niemal wszędzie – krwawnik pospolity. Z nim było tak, jak miewałem z wieloma już maleńkimi i niepozornymi kwiatkami, takimi, obok których się przechodzi nawet ich nie zauważając. Któregoś dnia, całkiem niedawno, nachyliłem się nad nim, jako lupe wziąłem drugą parę okularów i zobaczyłem te kwiaty tak naprawdę po raz pierwszy w życiu. Z bliska są ładne, mimo iż tak pospolite i niepozorne.

Idąc przez szczyt Pasternika ponownie podjąłem próbę znalezienia dogodnego przejścia w stronę Tarczyńska, teraz w przeciwnym kierunku; niemal na pewno nie ma takiego, ale spróbować było warto.

Już wcześniej, wiedząc o sporej rezerwie czasu, zdecydowałem się pojechać do wioski Nielestno i, zostawiając samochód, wejść na szczyt Grodowej dla widoku na przełom Lipki. Byłem tam w zimie, miejsce zrobiło na mnie wrażenie, dzisiaj chciałem je zobaczyć w słoneczny dzień kolorowej jesieni. Łagodnym stokiem góry podchodzi się prawie pod szczyt, a tam zbocze załamuje się nagle i spada na łeb na szyję siedemdziesiąt metrów. Ciemnym i niewidocznym z góry dnem płynie sprawca tej wielkiej wyrwy, strumień Lipka. Po drugiej stronie zbocze wznosi się równie stromo; oglądane na wprost wydaje się niemal pionowe, ale nieco na prawo otwiera się daleki widok w stronę Stromca i dalej, aż po Karkonosze.

Stałem tam patrząc, zmieniałem miejsce i znowu patrzyłem, brałem plecak odchodząc i wracałem, by spojrzeć raz jeszcze. Robiłem zdjęcia, i, jakby niepewny swojej pamięci, kilka razy wyciągałem z kieszeni aparat i robiłem nim kopie swoich zdjęć.

Tylko czy aparat zobaczy to wszystko, co ja widzę? Czy zobaczy urodę tej wykrzywionej sosny, kolory liści czereśni stojącej w ciepłym świetle niskiego słońca, niski konar dębu tworzący ramę obrazu odległego Stromca, muszki latające w smudze światła, błękitniejącą dal? Na pewno nie zarejestruje furkotu ptasich skrzydeł, szumu drzew na wietrze i mojego nastroju, ale może jego zdjęcia pomogą wrócić pamięcią do tego dnia.

Szczyt był blisko, trudno więc nie odwiedzić okazałego buka zapamiętanego z powodu dzikości miejsca, które wybrał sobie do życia, i skał wyglądających tak, jakby wyrównała je ręka człowieka. Wszedłem w las, po chwili zobaczyłem pierwszego grzyba i nic się już nie liczyło. Na skały i drzewo ledwie spojrzałem, kręcąc się po szczycie ze wzrokiem myszkującym po ziemi. Grzyby mają swój tajemniczy urok.

Krzysztof Gdula

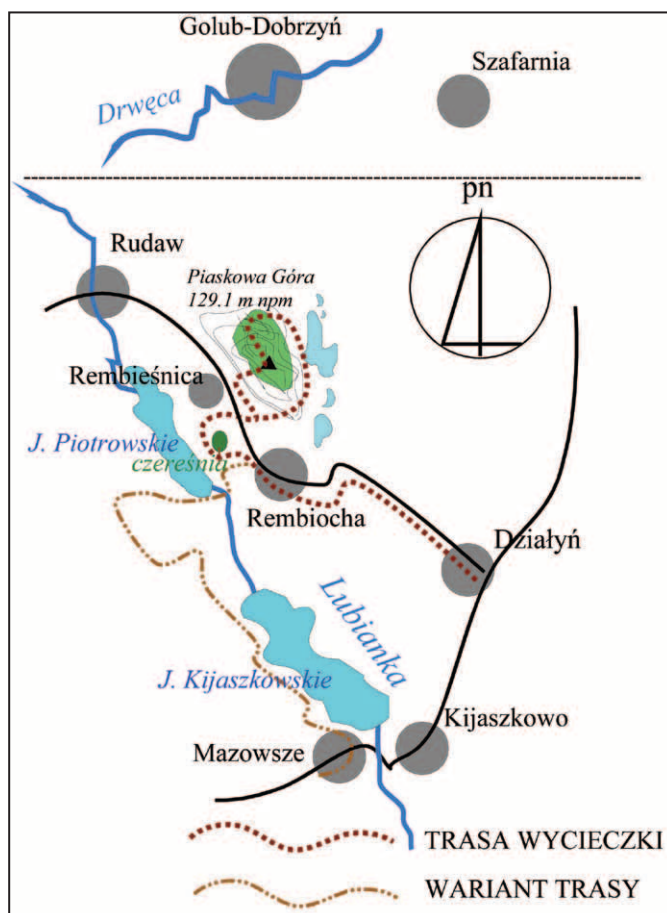
**W stronę Sądreckich Wzgórz
z Sołtysiej Czuby**



Piaskowa Góra i...

Gdy wbijemy nóżkę cyrkla w dziedziniec toruńskiego ratusza i zatoczymy okrąg o promieniu 30 km, nie znajdziemy wzniesienia wyższego niż licząca **129,1 m n.p.m. Piaskowa Góra**. Taka nazwa widnieje na mapie topograficznej. Tak, to jest najwyższa góra w otoczeniu Torunia. Jakkolwiek wzniesienia wysokiego brzegu Pradoliny Wisły są dość wysokie i efektowne, to nie sięgają wyżej niż 90–100 m. Punktem odniesienia niech będzie średni poziom Wisły w Toruniu określany na 42 m n.p.m. i samego miasta – ok. 65 m n.p.m. Dla Piaskowej Góry takim punktem jest poziom doliny rzeczki Lubianki, dopływu uchodzącego do Drwęcy w Dulniku, 6 km na zachód od Golubia-Dobrzyń. Lubianka płynie u stóp Piaskowej Góry na wysokości około 65 m n.p.m. Mamy zatem różnicę poziomów wynoszącą niemal 70 m. To całkiem sporo, jak na teren nizinny. Na trasie biegu rzeczki jest kilka jezior, w interesującym nas środkowym biegu z południa ku północy; zachodnie brzegi jezior są wysokie i mierzą 4 m od lustra wody. Z tego poziomu rosną wzgórza sięgające 90 m n.p.m. Brzegi wschodnie są płaskie, przechodzą w mokradła, po czym teren wznosi się do asfaltowej drogi, nad którą dominuje Piaskowa Góra. Około 2 km na północ jest sąsiednie wzgórze o wysokości 118 m n.p.m. Tyle ogólnych informacji.

Dlaczego warto się wybrać na wycieczkę w te strony? Dla widoków, rzecz jasna. Granica lasu na zachodnim zboczu to doskonały punkt widokowy. Nie ma tu kawałka płaskiego terenu, dookoła doliny i wzgórze. Zabudowa jest rzadka, tu i ówdzie samotne gospodarstwo i to wszystko. Spłaszczony wierzchołek pokryty jest lasem, ale od zachodu mamy odkryte zbocze zajęte przez łąki i pole. Od granicy lasu rozciągają się dalekie widoki na zachód i północ. Przy dobrej przejrzystości powietrza widać stąd komin toruńskiej elektrociepłowni w Grębocinie odległej o 21 km, na północy natomiast można wypatrzyć Golub-Dobrzyń (11 km).



Drwęca i zamek golubski

Przy drodze po zachodniej stronie Piaskowej Góry znajdują się dwa gospodarstwa. Należą do przysiółka Rembieśnica. Idąc od południa na wysokości pierwszego zobaczymy po prawej stronie odkrywkę zbocza. Podążając dalej mijamy drugie i skręcamy w prawo. Wspinamy się pod górę skrajem łąki ku granicy lasu. Przy odrobinie szczęścia można znaleźć w środku rzadkiego lasu, oznaczony znakiem pomiarowym, wierzchołek. Warto pozwiedzać kopułę szczytową, bo dzieje się tu sporo. Na północ od wierzchołka zbiega wąwóz sprowadzający na przełęczkę, skąd idąc w prawo na wschód, a za chwilę na południe, dojdziemy do czynnej kopalni piasku. Czy jest legalna, trudno powiedzieć, w każdym razie ktoś przy pomocy ciężkiego sprzętu eksploatuje piasek wgrzyzając się w kilkunastometrowe zbocze. No i teraz już wiadomo skąd nazwa Piaskowa Góra. Po wschodniej stronie góry jest strome zbocze, a pod nim trzy stawy, które jeszcze nie tak dawno stanowiły jedno niewielkie jezioro. Tam też warto się przejść.



Stąd nazwa Piaskowa Góra

* * *

To nie wszystko, co sugerują kropki w tytule. W pobliżu Piaskowej Góry znajduje się jedyne w regionie kujawsko-pomorskim pomnikowe drzewo owocowe. Różnych dębów, klonów, jesionów czy dąglezji, pojedynczych lub w postaci szpalerów, alei, skupisk nie brakuje, ale owocowe drzewo jest jedno. To **wysoka i rozłożysta czereśnia**. Nie spotkamy takiej drugiej w ogrodach ani sadach. Prawdopodobnie liczy sobie około 100 lat, w każdym razie, według dzisiejszego właściciela, *jest w rodzinie od zawsze*. Stanowi pozostałość przydomowego sadu, którego nie ma od dawna. Obok drzewa znajdują się resztki fundamentów domku gospodarczego, który stał przy sadzie. Czereśnia ma w obwodzie 320 cm. Nadal rodzi owoce, choć jeden wielki konar obłamał się już lata temu. Oparłszy się o ziemię wypuścił korzenie i też wydaje owoce.



Dwie czereśnie – zwykła i pomnikowa

Pomnikową czereśnię dzieli od Piaskowej Góry kilkaset metrów, dlatego oba te obiekty są tematem jednej opowieści. Tutaj także z wyniosłości terenu rozciągają się dalekie widoki. Między czereśnią a górą znajduje się niewielka zalesiona dolinka, którą należy przekroczyć, by przemieścić się od jednego obiektu do drugiego. Wspólnym elementem widokowym wzgórza nad czereśnią i zbocza Piaskowej Góry jest dolina rzeczki Lubianki. Można zaplanować całonocną wycieczkę po drogach, ścieżkach i bezdrożach po obu stronach Lubianki, skorzystać z mostu między wsiami Mazowsze i Kijaszkowo oraz mostów we wsiach Rembiocha

i Rudaw (patrz schemat trasy). Taka wycieczka może być fragmentem wakacyjnej bądź weekendowej wyprawy do Torunia i Golubia-Dobrzynia – samochodowej lub rowerowej, jednak najbardziej przydatne są w okolicy własne nogi. Komunikacja publiczna tu prawie nie dociera. Autobusy z Torunia i Golubia-Dobrzynia przejeżdżają przez pobliski Działyn (odległy od Piaskowej Góry o ok. 2,5 km), Mazowsze i Kijaszkowo (4,5 km). To optymalne miejsca do wyjścia na pieszą wycieczkę i do powrotu.

Kilka słów o Działyniu. Ta miejscowość będąca od XV wieku własnością rodu Działyńskich może zainteresować amatorów historii Fryderyka Chopina. Jest ona jednocześnie dobrym punktem startu na trasę do Piaskowej Góry. Na terenie przykościelnym znajdują się płyty nagrobne Dziewanowskich zdjęte niedawno z północnej ściany, w której były wmurowane. Jak wiadomo, Dominik Dziewanowski był serdecznym przyjacielem Fryderyka Chopina od czasów szkolnych. Związki młodego Chopina z Ziemią Dobrzyńską, gdzie się znajdujemy, zostały współcześnie utrwalone dzięki Międzynarodowemu Konkursowi Pianistycznemu dla Dzieci i Młodzieży odbywającemu się zawsze wiosną w niedalekiej Szafarni. To w Szafarni u Dziewanowskich latem 1824 i 1825 roku gościł „Frycek”, który w korespondencji nazywał Dominika „Domusiem”. Wizytę w okolicy można połączyć z odwiedzeniem Ośrodka Chopinowskiego. Ufundowany przez Działyńskich kościół w Działyniu pochodzi z roku 1640, niestety dawna krypta grobowa tej rodziny służy dziś za podręczny magazyn. Z tego rodu pochodził m.in. Ignacy Działyński, poseł i żołnierz, dowódca jednego z pułków pod Maciejowicami, patriota zesłany na Syberię po upadku Powstania Kościuszkowskiego. Wcześniej dla kraju zasłużył się Kacper Działyński, dowódca własnej chorągwi podczas wojen szwedzkich, późniejszy kapłan i wreszcie biskup diecezji chełmińskiej (1641–1646).

Jak widać, opisana okolica ma bogatą historię i takież krajobraz. Dolina Lubianki i okalające ją pasma wzgórz oddległe są od ruchliwych szos (TIR-a tu nie spotkasz), więc warto się wybrać w te rejony i to o każdej porze roku.

Juliusz Wysłouch

Widoki na dolinę Lubianki



**Płyta nagrobna
Włodzimierza i Dominika Dziewanowskich**



Miasto znowu sławne dzięki saniom

Na krajoznawczej (i turystycznej) mapie Polski od 1 stycznia 2018 r. jest siedem nowych miast w pięciu województwach. Dokładniej – trzy w świętokrzyskim, po jednym w mazowieckim, lubuskim, opolskim i lubelskim. Większość z nich to stolice gmin o istotnym znaczeniu lokalnym i regionalnym. Wejście do rodziny miast nastąpiło po długoletniej, a nawet wielowiekowej przerwie, która trwała z powodów gospodarczych, często politycznych.

Lubelski Józefów nad Wisłą jest znowu miastem po 190 latach, świętokrzyskie Radoszyce, Łągów i Wiślica po niespełna 150 latach, a mazowieckie Sanniki mające rodowód jako siedziba starostwa sięgający XVI w. – po kilkuset latach. Całkiem prywatnie (bo miałem kilka okazji, by je poznać) cieszę się z awansu Sannik i Wiślicy. Do naszkicowania obrazu wybieram to pierwsze, dlatego, że jest w sposób oczywisty ważnym miastem lokalnym, jednym z wielu na Mazowszu, centrum tradycyjnej kultury ludowej i współczesnym ośrodkiem powiązanym ściśle z osobą Fryderyka Chopina.

Nazwa miejscowości – twierdzą historycy – ma początek w rzemiośle bednarskim, stolarskim i pochodzi od wyrobu sań. Powozy, karety, bryczki, wolanty, landary, furgony, biedki – to używane kiedyś na co dzień pojazdy zaprzęgowe wielorakiego zastosowania. Sanie, powszechnie wykorzystywane, gdy nastaje śnieżna zima, zaliczane są do pojazdów ślizgowych, płozowych. Rozmaitość takich pojazdów wzbogacały liczne typy wozów chłopskich, gospodarczych, jak wasągi, wozy drabiniaste czy półkoszki, ale też „pańskie” – myśliwskie, sportowe, spacerowe. Od pradawnego wynalazku koła nie byłoby bez nich komunikacji – ani tej prostej sąsiedzkiej, ani wypraw wojennych (rzymskie rydwany bojowe), ani podróży do odległych miejsc w kraju czy poza jego granicami, dla przyjemności lub przewozu poczty. Do budowy pojazdów niezbędne były umiejętności stelmacha, kołodzieja, kowala, rymarza, tapicera. Warto wspomnieć, że dziadek Karola Wojtyły – Jana Pawła II – produkował, remontował i wypożyczał w Krakowie uprzęże i pojazdy konne.

W dziejach Sannik, znanych z unikatowej produkcji pojazdów już w XIV w., miejscowi mistrzowie wytwarzali sanie dla siebie i dworu książąt plockich. Wypada zaznaczyć, że nie ma w Sannikach tego rodzaju pamiątek, istnieją natomiast znane i bogate kolekcje pojazdów zaprzęgowych – np. w Łańcucie, Galowicach (opodal Wrocławia) Pilaszkowie (koło Mińska Mazowieckiego) czy w wielkopolskiej Szreniawie (Narodowe Muzeum Rolnictwa). Są to tłumnie podziwiane kolekcje o walorach edukacyjnych, uznawane za atrakcyjne dla krajoznawców obiekty popularnej turystyki kulturowej na szlakach.

Sanniki są jednym z ważniejszych punktów na mapie krajoznawczej Mazowsza, ośrodkiem folklorystycznym regionu sannickiego. Miasto sąsiaduje z bardziej znanym regionem łowickim, księżackim. Miejscowa i okoliczna sztuka ludowa wyróżnia się wytworami tkackimi, rzeźbami, wycinankami i muzyką. Najbardziej znane są papierowe wycinanki w formie klapoków wstęgowych, odwzorowań roślin i sylwetek ludzkich, a bardzo często także ptaków domowych. Wyroby tkackie to znane dawniej wełniane pasiaki, narzuty na łóżka (kapy), narzuty na ramiona, kilimy i bieżniki na stoły czy ławy. Typowe są zachowane w wielu domach skrzynie „na wszystko” (w istocie na dobytek pański, czyli na wiano), malowane w kwiaty na zielonym tle. Znany jest też Regionalny Zespół Pieśni i Tańca „Sanniki” występujący z towarzyszeniem własnej kapeli.

W latach 1824 i 1825 Chopin zatrzymywał się w Sannikach we dworze u rodziców szkolnego kolegi Konstantego Prusaka, gdy jechał przez pobliski Hów i Gąbin do Szafarni opodal Golubia-Dobrzynia, gdzie odwiedzał Dziewanowskiego, także szkolnego kolegę. Tam pisał prywatny „Kurier Szafarski”, namiętnie jeździł konno, w okolicznych karczmach słuchał muzyki wiejskich kapel. Od 1949 r. znajduje się tam (początkowo jedna z pierwszych) Chopinowska Izba Pamięci, od 1952 r. Ośrodek Kultury Fryderyka Chopina, potem Salon jego imienia, a od 1988 r. Ośrodek Kultury im. Fryderyka Chopina w Szafarni, znaczący jako miejsce festiwali chopinowskich dla młodych pianistów w dworku Dziewanowskich. Obecnie w Sannikach trwa – potwierdzany wieloma wydarzeniami – kult Chopina, który koncertował w dworze Prusaków. Zadaniem samorządowej



instytucji kultury, czyli Europejskiego Centrum Artystycznego i Ośrodka Pamięci im. Fryderyka Chopina jest ochrona i zachowanie dziedzictwa kulturowego i promocja twórczości Chopina oraz wieloraka działalność edukacyjna, naukowa i artystyczna. Od 1985 r. osobliwym obiektem jest pomnikowa figura idącego Chopina w parku krajobrazowym przed pałacem (wierna kopia pomnika z Ustki z 1979 r.), dzieło Ludwika Nitschowej (autorki warszawskiej Syreny). W pałacu mieści się unikatowa Biblioteka Chopinowska, Dom Pracy Twórczej dla Artystów i kawiarnia dostępna sezonowo dla turystów odwiedzających Sanniki w związku z koncertami fortepianowymi.



Zespół pałacowo-parkowy im. Fryderyka Chopina.
Fot. pl.wikipedia.org/wiki/Sanniki

W odnowionym mieście stoją zabytkowe chałupy z XIX w. (przy ul. Wiejskiej). Co roku, w pierwszą niedzielę czerwca Miejski Ośrodek Kultury organizuje imprezę folklorystyczną pod nazwą „Niedziela Sannicka”. To pokaz tradycji lokalnych, koncerty muzyki Chopinowskiej (wybitnych pianistów polskich i z wielu innych krajów) i ludowej oraz kiermasze wyrobów regionalnych (tkaniny, wycinanki, papierowe kwiaty, pisanki).

W pobliżu Sannik na uwagę krajoznawców i turystów zasługują: Gąbin z ratuszem; Słubice – siedziba gminy z własną flagą i herbem; pomniki przyrody w Iłowie; dwór Walewskich w Kiernozi, odwiedzany przez młodego Chopina i Tadeusza Kościuszkę; grobowiec Marii Walewskiej związanej z Napoleonem, a także Konstantynów, gdzie do 8 sierpnia 1991 r. stał najwyższy na świecie (646 m) maszt radiowy. Z powodu błędu podczas prac konserwatorskich po zerwaniu liny, maszt runął. Była to wielka katastrofa budowlana i strata dla techniki przekazu sygnału radiowego, który docierał aż do Kazachstanu, Iranu i Afryki Północnej.

Równocześnie z Sannikami wśród 930 polskich miast znalazło się sześć osobliwych „noworodków”. Warto wspomnieć, że takich „narodzin” w latach 2016 i 2017 było tylko po cztery. Starania wielu wsi o status miast trwają czasem wiele lat. Tym razem z długiej kolejki awansowały dość szybko. W kilku przypadkach zmieniła się też ich powierzchnia, no i granice. W urzędach zasiadają wójtowie przewodząc samorządom i administracji lokalnej. Nie ma pewności, czy mieszkańcy będą bardziej dumni z awansu ich małej ojczyzny do tytułu, czy też z rangi miasta. Pewny jest napływ środków finansowych „z centrali”. Wszystkie odnowione miasta mają piękne herby. Dla kolekcjonerów i heraldyków to nowe okazje do wzbogacenia zbiorów i porównań elementów na tarczach herbowych.

Na uwagę zasługują nie tylko przedstawione wcześniej Sanniki. Tułowice sąsiadujące z Opolem powinny zwrócić uwagę krajoznawców jako jeden z najbardziej znanych polskich ośrodków przemysłu ceramicznego, słynący zwłaszcza z wyrobów do użytku domowego, czyli ceramiki stołowej zdobionej dekoracjami o motywach kwiatowych. Wiślica leżąca na terenie Nadnidziańskiego Parku Krajobrazowego sławna jest jako zagłębie wykopaliskowe i kulturowe z okresu wczesnego średniowiecza oraz z zabytkowego Domu Długosza z XV w. i Kolegiaty z XIV w. W lubuskim Otyniu jest kilkadziesiąt zabytkowych domów mieszkalnych oraz ruiny zamku. W świętokrzyskim Łagowie znajduje się kredowa jaskinia jurajska, a w Radoszycach – dwie synagogi i cmentarz żydowski.

Prawdę mówiąc, każde z nowych miast ma wiele innych osobliwości, czasem pominiętych przez autorów przewodników, a więc do odkrycia przez nas niejako na prywatny użytek. Niektóre z tych miejscowości wraz z ciekawostkami figurują w spisach miejsc i obiektów „do zaliczenia” w celu zdobycia punktów do odznak regionalnych, krajoznawczych, turystyki kwalifikowanej (jak choćby starożytna Wiślica). Zarówno koncerty Chopinowskie, jak i kiermasze regionalne, to kolejne okazje do pomnożenia wrażeń, zebrania pamiątek krajoznawczych. Mogą służyć zarówno edukacji przyrodniczej, jak i powiększeniu zbiorów fotograficznych; przyczynić się do ważnych i atrakcyjnych przeżyć i przygód z własnym krajem dla najmłodszych turystów i krajoznawców podczas wycieczek pod hasłem turystyki rodzinnej. Zatem: szerokich szlaków „nowomiejskich”.

Tomasz Kowalik

Koniniana historyczne i współczesne

Logiczną przesłanką, a być może warunkiem w wyborze kilku-nastu miast partnerskich dla Konina był wizerunek konia w herbie miasta. Pierwowzorem w tworzeniu graficznych i plastycznych wersji pięknych rumaków na użytek tych miast bywa Centaur – mityczna postać konia z ludzką głową. Konińska rzeźba herbu miasta na Placu Wolności jest odwrotnością, negatywem Centaura, przedstawia bowiem tors człowieka z głową konia. Otwarte wydaje się pytanie, czy tak artystycznie zaprezentowany herb Konina przypadł do gustu koninianom.

A z czego poza tym znany jest nadwarciański Konin? Znaczący gośpodarzej mapy Polski wymieni zapewne w pierwszej kolejności Kopalnię Węgla Brunatnego oraz Pątnów i Konin – dwie elektrownie pracujące w oparciu o węgiel brunatny, ten cenny surowiec, który legł u podstaw powojennych początków błyskawicznej kariery Konina. Barwne opisy i fotoreportaże z tamtego okresu znane są z relacji początkującego wówczas dziennikarza „Polityki”, Ryszarda Kapuścińskiego. *Myślicie, że Konin nie może smakować przez dzień jak Colorado?* – pytał Kapuściński w reportażu pt. „Patery”. Taki też tytuł nosiła wystawa zdjęć w Konińskim Centrum Kultury, wykonanych z odnalezionych negatywów z 1959 roku. Prezentowały one książeczkowy krajobraz z odkrywek węgla brunatnego Niesłusz, Pątnów i Gosławice, scenki rodzajowe, dzieci, przypadkowych ludzi, nowe ulice budowanego miasta. Z tego okresu pochodzi podział na Stary i Nowy, szybko rosnący, Konin, rozlokowany po obu stronach Warty. Przy czym Nowy Konin wchłonął m.in. wsie Czarków i Chorzeń. Lata przemysłowej świetności i – co za tym idzie – gospodarczej koniunktury zda się mieć Konin, niestety, już za sobą. Wskazują na to prognozy demograficzne plasujące go w grupie miast zagrożonych postępującym wyludnieniem oraz malejące znaczenie przemysłowej roli miasta. W tej sytuacji szansę i wielkie wyzwanie upatruje Konin w odkrytych na wyspie Pocijewo, między Starym a Nowym Koninem, złożach wód geotermalnych.



Dowiercono się tam do wody o najwyższej w kraju temperaturze 95°C. Dla porównania – woda z term w Uniejowie ma 68 stopni, a w Toruniu 61. Dodatkowo, wysoki stopień zmineralizowania pozwala na wykorzystanie wód nie tylko do celów grzewczych, ale także rekreacyjnych i leczniczych. Według słów prezydenta Konina, Józefa Nowickiego, ten skarb ukryty pod ziemią będzie ekologicznym salonem miasta i regionu. Na wyspie Pocijewo o powierzchni 18 ha, oprócz pozyskiwania taniej energii cieplnej, optymistyczne plany zakładają powstanie miejsca masowych imprez rekreacyjnych, balneologicznego centrum



rehabilitacji, a nawet tętni i parku zdrojowego. Słowem, w bliższej lub dalszej perspektywie, wielkoprzemysłowy dotychczas Konin, zamiast przymiotników Stary i Nowy, będzie ewoluował w kierunku jednolitej nazwy Konin-Zdrój, co jako mieszkańiec Ciechocinka odnotowuję kibicując tym przeobrażeniom.

Zgoła inaczej postrzegany jest Konin okiem krajoznawcy. Tylko nieliczne wycieczki pielgrzymkowe do odległego o 16 km sanktuarium Maryjnego w Licheniu omijają Konin. Będąc na tamtejszej starówce nie sposób nie wstąpić do jednego z najstarszych zabytków miasta z przełomu XIV i XV wieku – kościoła farnego pw. św. Bartłomieja.

Zarówno architektura, jak i wnętrze fary imponują rozlicznymi zabytkami, jednakże ciekawość, a zarazem niedowierzanie wzbudza fakt, że malowidła i witraże wykonał znany wówczas malarz, niesławnej pamięci Eligiusz Niewiadomski, który zapisał się w historii II RP zamachem na prezydenta Gabriela Narutowicza. Tuż przy kościele stoi najcenniejszy w Koninie zabytek, znany i rozpoznawalny, niemal symbol miasta, romański słup drogowy z 1151 roku, błędnie nazywany niekiedy słupem milowym. Ustawiony w połowie drogi między Kaliszem a Kruszwicą jest najstarszym zachowanym w Polsce znakiem drogowym, a według niektórych źródeł najstarszym także w Europie, poza granicami dawnego imperium rzymskiego. Słup o wysokości 252 cm wykonany został z piaskowca pochodzącego prawdopodobnie z pobliskiej wsi Brzeźno. Wryta na słupie inskrypcja w języku łacińskim głosi:

*Roku od wcielenia Pana naszego 1151
pokazuje ta wskazówka prawość drogi,
że tu jest środek (drogi) do Kalisza z Kruszwicy.
Kazał ją tutaj ustawić Piotr, komes pałacowy,
i w ten sposób roztropnie przepołowił podróż.
Aby raczył o nim pamiętać każdy podróżnik,
kołając modlitwą do łaskawego Boga.*

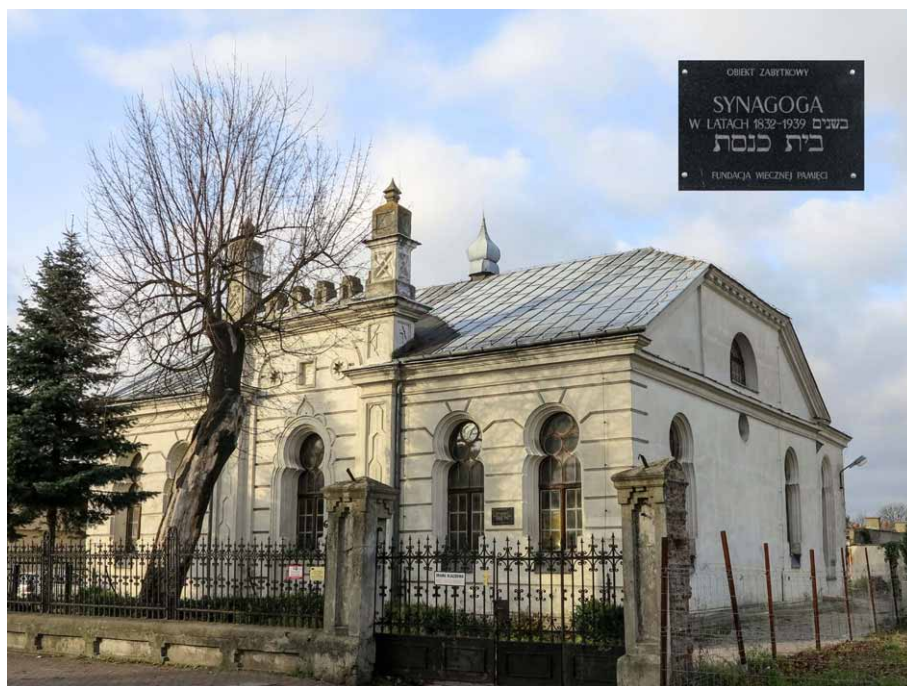
Owiany tajemnicami słup w kwestii treści przekładu łacińskiego, nazwiska fundatora, genezy i funkcji, stanowi źródło niekończących się dywagacji i sporów naukowych. Jedna z hipotez wskazuje np. na podobieństwo słupa konińskiego ze stojącą w Sobótce na Dolnym Śląsku rzeźbą zwaną „Mnich”, której przypisuje się pochodzenie celtyckie. Obie rzeźby o zbliżonych wymiarach i kształtach przypominają kręgle. Ciekawostką jest replika słupa konińskiego wśród osobliwości Parku Drogowskazów w Witnicy w województwie lubuskim, co jakby zwiększa jego wartość jako zabytku.

Na przełomie XVI i XVII wieku działali w Koninie dwaj wybitni, wykształceni w Padwie lekarze Jan Zemelka i Kacper Blewski. Usytuowany na Placu Wolności zabytkowy dom fundacji Jana Zemelki uznawany jest za pierwszy, a zarazem najstarszy z istniejących, murowany dom mieszczański w Koninie. W panteonie wybitnych i znanych ludzi związanych z Koninem znajdują się także: powieściopisarka Zofia Urbanowska, wynalazca lateksowej prezerwatywy Julius Fromm, naukowiec i konstruktor Mieczysław Bekker, kapelan Powstania Styczniowego Maksymilian Tarejwo, kompozytor, zdobywca Oscara, Jan A.P. Kaczmarek.

W kilkusetletniej historii osadnictwa Żydów konińskich był i taki okres, kiedy ich populacja przekraczała 50% ogółu mieszkańców. Historię i tragiczne dzieje swoich przodków w bestsellerowej książce „Uporczywe echo. Sztetl Konin. Poszukiwanie” opisał brytyjski dziennikarz Theo Richmond. Na kartach książki, w swojej wyprawie w przeszłość, znajdujemy udaną próbę rekonstrukcji najdrobniejszych szczegółów z życia



konińskiej diaspory żydowskiej. Tłumaczona na wiele języków książka zdobyła szereg prestiżowych nagród, w tym tytuł książki roku z nadania czasopisma „New York Times”. Jedną z nielicznych, materialnych pozostałości judaików konińskich jest synagoga z pierwszej połowy XIX wieku zbudowana w stylu mauretańsko-bizantyjskim. Dlatego z wielkim zdziwieniem i dezaprobatą wśród mieszkańców Konina spotkała się decyzja o sprzedaży i wyburzeniu istniejącego obok synagogi dawniejszego domu talmudycznego. Jednym z przedstawicieli licznej diaspory żydowskiej w Koninie był wspomniany Juliusz Fromm. Tu urodził się i mieszkał przez pierwsze 10 lat. Uznawany za wynalazcę lateksowej prezerwatywy, z nieco frywolnym hasłem reklamowym *Konkurencja pęka*, światową karierę zrobił Fromm po wyjeździe do Niemiec. Przypomnienie tej postaci i nadanie jej medialnego rozgłosu nastąpiło za sprawą happeningu Stowarzyszenia „Akcja Konin”. W 2011 roku, w 128. rocznicę urodzin Juliusza Fromma, na miejską fontannę w kształcie słupa konińskiego nałożono ogromną prezerwatywę. Wrzawa medialna z tego tytułu sięgała daleko poza Konin i Polskę. W atmosferze entuzjazmu jednych, a zgorzienia i ironicznych komentarzy innych, pojawił się projekt budowy pomnika Juliusza Fromma z jego epokowym wynalazkiem – prezerwatywą. Zgłosił się nawet łódzki jego wykonawca. Czemu nie – pisała w konińskim portalu internetowym jedna z komentatorek – *przecież w spójną całość tego projektu komponuje się falliczny kształt słynnego słupa konińskiego i rzeźba konio-człowieka na Placu Wolności*. Podobno o gustach się nie dyskutuje.



lat. Uznawany za wynalazcę lateksowej prezerwatywy, z nieco frywolnym hasłem reklamowym *Konkurencja pęka*, światową karierę zrobił Fromm po wyjeździe do Niemiec. Przypomnienie tej postaci i nadanie jej medialnego rozgłosu nastąpiło za sprawą happeningu Stowarzyszenia „Akcja Konin”. W 2011 roku, w 128. rocznicę urodzin Juliusza Fromma, na miejską fontannę w kształcie słupa konińskiego nałożono ogromną prezerwatywę. Wrzawa medialna z tego tytułu sięgała daleko poza Konin i Polskę. W atmosferze entuzjazmu jednych, a zgorzienia i ironicznych komentarzy innych, pojawił się projekt budowy pomnika Juliusza Fromma z jego epokowym wynalazkiem – prezerwatywą. Zgłosił się nawet łódzki jego wykonawca. Czemu nie – pisała w konińskim portalu internetowym jedna z komentatorek – *przecież w spójną całość tego projektu komponuje się falliczny kształt słynnego słupa konińskiego i rzeźba konio-człowieka na Placu Wolności*. Podobno o gustach się nie dyskutuje.

Bogumił R. Korzeniewski

XVIII Międzynarodowy Rajd Pieszy IVV
“Łużyckie Wędrówki”
w ramach turystycznej imprezy
“3 Dni - 3 Kraje - 3 Wędrówki”
odbędzie się w dniu 27.04.2018r.

Organizator imprezy:
 Oddział Łużycki PTSM w Lubaniu
 59-800 Luban, ul. Łużycka 1
 tel. 75 721 6580, kom. 604 927 247
 szczegółowe informacje na stronie:
www.ptsmluban.vipserv.org/menu3dni.htm

3 DNI KRAJE WĘDRÓWKI
 OLBERSDORF
 NOWE MIEŚCIE
 LUBAN

P TSM

PTTK

Dofinansowano z budżetu Starostwa Powiatowego w Lubaniu oraz Urzędu Miasta Luban

Łazienkowski Ogród Naukowy

Na wiślanej skarpie za Pałacem Kazimierzowskim powstał w 1811 r. pierwszy ogród botaniczny, niezbędny w nauczaniu studentów Warszawskiej Szkoły Lekarskiej. Stworzył go, zgodnie z zasadami systematyki botanicznej, Jakub Hoffmann, lekarz i przyrodnik, profesor tej szkoły. Poza służeniem jako pomoc naukowa w edukacji medyków, ogród miał też pełnić funkcję szkoły dla ogrodników oraz miał być dostępny dla publiczności. Okazało się jednak, że jest zbyt mały, a skład jego gleby nie służy hodowli roślin.

Konieczne okazały się zmiany. O ich wprowadzenie i dalszy rozwój ogrodu troszczył się Michał Szubert – pionier anatomii i morfologii roślin. Aby rozszerzyć kolekcję, sprowadzał nowe rośliny z zagranicy. Już w 1814 r. uznał, że ogród jest za mały dla potrzeb uczelni i zaplanował przeniesienie go na większą działkę, do Ogrodu Królewskiego, wydzielonego z Łazienek Królewskich (przy trakcie wiodącym na południe od miasta, znanym obecnie jako Aleje Ujazdowskie). Stało się to w 1816 r., a program naukowy placówki wzbogacono dzięki budowie obserwatorium astronomicznego (istniejącego po dziś dzień). Od 1818 r. ogród rozwijał się w tym miejscu jako wyspecjalizowana część Królewskiego Uniwersytetu Warszawskiego, ważna placówka dydaktyczna i naukowa. Około 1824 r. inwentarz roślin liczył ponad 10 tys. gatunków.

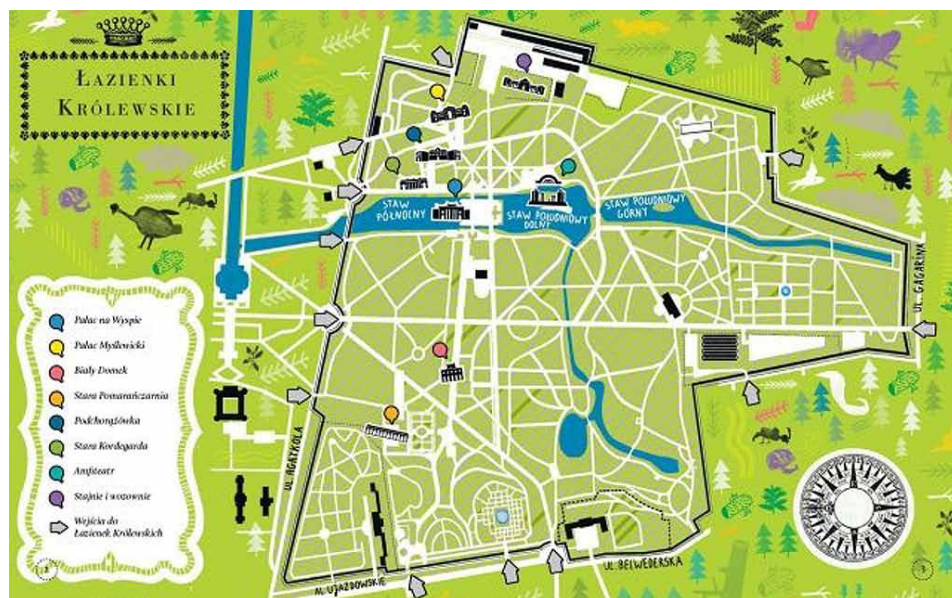
Po likwidacji Uniwersytetu w 1831 r. jego spadkobiercą stała się powołana do istnienia w 1862 r. Szkoła Główna Warszawska. Ogród rozwijał się – powstały m.in. szklarnie dla roślin z innych stref klimatycznych. Po powstaniu styczniowym w 1869 r. Szkołę Główną zamknięto, co odbiło się niekorzystnie na pracy placówki botanicznej. Wraz z zakończeniem działalności rosyjskich władz zaborczych w 1915 r. przystąpiono do jej odbudowy – od 1916 r. znowu stała się częścią odnowionego polskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1919 r. pracą ogrodu kierował wybitny botanik Bolesław Hryniewiecki (powołany wkrótce do składu Państwowej Rady Ochrony Przyrody), natomiast w latach 1926–1950 jego inspektorem i opiekunem był inny znany botanik, Roman Kobendza, współtwórca Kampinoskiego Parku Narodowego w 1959 r.

Niestety, w sierpniu 1942 r. władze hitlerowskie usunęły polski personel z Ogrodu Botanicznego UW i zamknęły go dla polskiej publiczności. Po połączeniu z Parkiem Łazienkowskim popadał on w coraz większą ruinę. W 1944 r., w wyniku walk toczonych podczas Powstania Warszawskiego zostały zniszczone budynki ogrodowe oraz szklarnie. Ogród z ruiny podnosili od 1945 r. jego opiekunowie – Roman Kobendza z żoną Jadwigą (również botanikiem) i Bolesław Hryniewiecki. Odbudowano budynki i szklarnie, powstały nowe działy systematyki roślin. Odnowiono też zniszczone pomniki współtwórców dawnej świetności ogrodu – Michała Szuberta i Jakuba Wagi. Do 1950 r. katalog roślin Ogrodu wymieniał w kolekcji prawie 1,9 tys. gatunków.

W 1960 r. kierownikiem Ogrodu została Ludmiła Karpowiczowa, która powiększała kolekcje i popierała popularyzację wiedzy o przyrodzie i konieczności jej ochrony. Dzięki jej staraniom od lipca 1965 r. Ogród Botaniczny – wraz z fragmentem murów zapoczątkowanej (ale nigdy nieukończonej w tym miejscu) budowy Świątyni Opatrzności, która miała być pamiątką z okazji 200-lecia uchwalenia Konstytucji 3 Maja – został uznany za jeden z ważnych zabytków kultury i nauki Warszawy. Jego znaczenie wzrosło w 1966 r. po nada-

niu mu członkostwa Międzynarodowego Towarzystwa Ogrodów Botanicznych. W maju 1968 r. obchodzono 150. rocznicę jego utworzenia jako specjalistycznej części Uniwersytetu Warszawskiego. Z tej okazji przy wejściu do Ogrodu umieszczono masywny głaz narzutowy ku pamięci odnowicieli Ogrodu Botanicznego po zniszczeniach I i II wojny światowej – Zygmunta Wóycickiego, Bolesława Hryniewieckiego i Romana Kobendzy.

Od 1973 r. Ogrodem kierowała botaniczka Alina



Doroszewska, a od 1987 r. – od 30 lat – funkcję dyrektora pełni Hanna Werblan-Jakubiec, której zasługą jest pomnożenie kolekcji roślin oraz inwestycje – przede wszystkim instalacja wodociągowa, konstrukcja szklarni roślin pnących, kolekcja odmian róż, roślin użytkowych i egzotycznych. Sprawami Ogrodu i popularyzacją jego roli w ochronie różnorodności biologicznej i zachowaniu rzadkich gatunków zajmowało się Towarzystwo Przyjaciół Ogrodu Botanicznego Uniwersytetu Warszawskiego. W kolekcji roślin są 23 drzewa i krzewy uznane za pomniki przyrody. Na program poznawczy Ogrodu składa się osiem działów i kolekcji roślin na wolnym powietrzu oraz kolekcja w szklarniach. Rocznie odwiedza obiekt kilkadziesiąt tysięcy osób; dużym powodzeniem cieszą się cykliczne imprezy i pokazy oraz możliwość zakupu sadzonek roślin ozdobnych.

Do najważniejszych zadań Ogrodu Botanicznego należą badania naukowe, ochrona przyrody, edukacja, popularyzacja wiedzy przyrodniczej. Są to m.in. zajęcia przedmiotowe dla studentów, wystawy tematyczne (np. roślin kwiatowych, kaktusów), festiwale (róż, roślin użytkowych), cykle spotkań popularyzujących wiedzę o roślinach i ich ochronie. Ułatwieniem dla zwiedzających są ścieżki edukacyjne i wydawnictwa, m.in. „Przewodnik po Ogrodzie Botanicznym UW”. Zbiór roślin liczy prawie 5 tys. gatunków i odmian (taksonów) drzew, krzewów i roślin zielnych. Przy okazji zachęcam Czytelników do obejrzenia na stronie internetowej „10 najpiękniejszych ogrodów świata”.

Wiele tysięcy razy Ogród był miejscem ważnych konferencji naukowych, przez większość pór roku jest świadkiem... spotkań zakochanych i wyznań miłosnych, a także spotkań konspiratorów, wśród kwitnących bzów, róż i tulipanów. Do najbardziej znanych popularnych piosenek z okresu dwudziestolecia międzywojennego należy piosenka „Gdy w Ogrodzie Botanicznym zakwitną bzy”, z tekstem Andrzeja Własta (właśc. Gustawa Baumrittera, który był autorem ponad 500 tekstów tego rodzaju) i muzyką Artura Golda, utrwalona na licznych płytach gramofonowych, w repertuarze licznych wykonawców i w pamięci wielu osób. Obaj autorzy zginęli w latach 1942–1943. Mimo upływu lat piosenka jest ciągle popularna, wykonywana i ma cechy „wiecznego” utworu w klasie folkloru muzycznego Warszawy.

Ogród Botaniczny UW to placówka naukowa, szkoła przyrodnicza i park publiczny będący jednocześnie ważną częścią historii miasta i polskich tradycji ochrony przyrody. Jest on zarazem swoistym ogrodem pamięci, w którym znajdziemy wspomnianą część zamierzonej Świątyni Opatrzności, Obserwatorium Astronomiczne, osobliwą kompozycję sztuki ogrodowej, miejsce upamiętnienia wybitnych polskich botaników.

Do niezwykłych faktów w historii tego Ogrodu wypada zaliczyć nie tylko zakaz wstępu dla Polaków w połowie 1942 r., ale także sympatię, jaką darzył go wybitny polski turysta i krajoznawca – Mieczysław Orłowicz. Spotykał się w nim z dyrektorem Bolesławem Hryniewieckim, także krajoznawcą i obrońcą przyrody. Orłowicz wspominał, że w sierpniu i wrześniu 1940 r. w jego zaciszu układał swoje wiersze do popularnych melodii wyrażające tęsknotę za wędrownkami i przyjaciółmi.

To były m.in. „Marsz karpacki PTT” („Płyn łodzi nasza, płyn przez Pieniny”) czy „Czeremosz wije się po dolinie”, „Nie masz gór nad Gorgany”, „Kocham ja Karpaty, w górach chodzić lubię” i najbardziej znany „Marsz Hnitesa Klubu” (na melodię „Marszu lwowskich dzieci” – *W dzień deszczowy i ponury / z cyta-deli idą góry...*). Był on hymnem wycieczkowym grupy przyjaciół Orłowicza i wycieczek w latach powojennych, gdy Karpaty Wschodnie pozostały tylko w marzeniach. Oto początkowy fragment: *Pod przewodem Orłowicza / chodzi w góry banda bycza / Pyszny zespół wyrypiarzy / Chodzą młodzi, chodzą starzy / Chodzą także piękne panie / Takie mają przykazanie: / Humor w górach rób / Melancholie zgub / Niech żyje Hnitesa Klub / Od wiosny aż do jesieni / Kiedy hala się zieleni / Chodzą w Beskidy i Tatry / I palą po górach watry / Lubią góry, lasy, wody / Czciociele górskiej przyrody / Hasłem klubu jest / Maszerować fest / W górach mieć szeroki gest /...* Pełny tekst hymnu znajduje się w mojej książce „Życie dla turystyki krajoznawstwa i sportu – Mieczysław Orłowicz 1881–1959” (s. 267–268), wyd. ZG PTTK 2009 oraz w półroczniku Towarzystwa Karpackiego „Płaj” nr 37, jesień 2008 (s. 191).

Tomasz Kowalik



Niebieski szlak z Dańczowa do Kulina Kłodzkiego przez Darnków

Są miejsca w Górach Stołowych, w których w letnie, korzystne pogodowo dla uprawiania turystyki dni, pełno jest zazwyczaj turystów. Są jednak i takie szlaki w tym paśmie górskim, na których spotkanie niewielu nawet wędrowców i to latem przy bezchmurnym niebie jest rzadkością. Do takich zalicza się z reguły tytułowa trasa. W zupełności wystarczy na atrakcyjną wycieczkę górską.

Przez pewien czas niebieski szlak przez Darnków do Kulina Kłodzkiego zaczynał się w Dańczowie. Dziś już nie. Do Dańczowa można nim przyjść np. z Jarkowa i z wielu innych miejsc, w tym z Republiki Czeskiej. Był też i taki okres, kiedy trasa z Dańczowa kończyła się w Gołaczowie. Przynajmniej tak można wnioskować z lektury bardziej współczesnych map. Kiedy jednak rzucić okiem na opracowania kartograficzne z 1990 r. i lat 80. XX w., nie mówiąc już o starszych mapach, od razu widać, że przez lata w miejscu tytułowego niebieskiego, szlaku nie było. Dość jednak takich informacji. Pora na szlak.

Na tych, którzy lubią wędrowkę od szlakowego kółeczka do kółeczka, oznaczającego początek/koniec znakowanej trasy, w Dańczowie czeka niespodzianka. Otóż opodal wiaty przystanku autobusu szkolnego, koło budynku nr 25, znajduje się słup energetyczny. Na nim zobaczyć można jeszcze ślad dość słabo widocznego, chyba dawnego, znaku, dawnego też początku szlaku niebieskiego do Kulina Kłodzkiego. Z drugiej zaś strony słupa zamalowany na szaro, czyli zlikwidowany, prawdopodobnie dawny znak szlaku. Opodal, po drugiej stronie drogi znajduje się natomiast współczesny szlakowskaz. Nie tylko dla tytułowego szlaku, ale i dla czerwonego Głównego Szlaku Sudeckiego im. dr. Mieczysława Orłowicza. Przynajmniej taki stan miał miejsce na początku maja 2017 r. Stąd też zaczyna się opis tytułowej trasy.

W kierunku Darnkowa niebieski szlak początkowo gruntową drogą, jeszcze wśród zabudowań Dańczowa, łagodnie pnie się pod górę. Wkrótce z prawej wyłania się piękny widok na malowniczą dolinę Dańczówki, dalsze zabudowania mieszkalne wymienionej wsi oraz drewnianą dzwonnice z XIX w. Nie jest ona jedynym tego typu obiektem w tych stronach (mamy np. dzwonnice przy ul. 1 Maja w Kudowie-Zdroju). Zaraz też rozpoczyna się leśny odcinek szlaku. Piechurzy wkraczają tym samym na teren Parku Narodowego Gór Stołowych. Niebawem z szerokiej początkowo ścieżki widać pierwsze odsłonięcia skał. Dalej ścieżka jest nieco węższa. Po mozolniejszym podejściu szlak doprowadza do dość wyraźnej drogi leśnej. Dalej też wiedzie, czasem trochę klucząc, przez las. Po nieco ponad 1 godzinie marszu od szlakowskazu, w pobliżu przystanku autobusu szkolnego w Dańczowie, w miejscu, gdzie na prawo



Średnia Kopa i Grodziec z grzbietu Góry Cisowej

od drogi leśnej (którą wie-
dzie tu szlak) teren wyraź-
nie opada stromo w dół, cze-
ka na turystów jedna z więk-
szych atrakcji opisywanej
trasy. Zresztą atrakcji nie tyl-
ko w skali tej trasy, ale i ca-
łych Gór Stołowych. Piechu-
rzy znajdują się tam bowiem
obok zespołu różnych form
skalnych, w tym ogromnych
wychodni posadowionych
poniżej wierzchołka Kru-
czej Kopy (723 m). Na ma-
pach figurują mniej więcej
w tym rejonie nazwy Mig-
dałki, Długa Zerwa i Wynio-
sła. W terenie są one raczej
mało przydatne dla turystów.
Ciężko im bowiem będzie na
pierwszy rzut oka stwierdzić,
która formacja skalna jak się



Żyznów – fragment dawnej wsi

nazywa. Ciekawsze jest to, z czego są zbudowane. Tak się składa, że budulec stanowią odpowiednio czerwone granity kudowskie i granodioryty. Praktycznie od początku opisywanej trasy piechurzy krocą granitowym fragmentem Gór Stołowych, a czerwone odłamki skalne były do zauważenia i na wcześniejszym odcinku szlaku. Tymczasem ze szlaku koło ww. formacji skalnych da się zobaczyć wysoko na górze duży krzyż.

Znakowana niebiesko trasa zaraz skręca w prawo. Teraz wraz ze szlakiem zielonym sprowadza wyraź-
nie w dół, zagłębia się w dolinkę. Po chwili z lewej – teren źródłiskowy płynącego nią bezimiennego po-
toczku. Schodząc nieco tylko dalej w dół, miłośnicy źródeł będą mieli okazję ujrzeć kolejny wypływ, zasila-
jący dość wyraźny już potoczek w następne porcje wody. Oba szlaki wychodzą zaraz na otwarty teren z pięknymi łąkami. W końcu doprowadzają do skrzyżowania dróg w Darnkowie. Tu piechurzy wędrujący tytułową trasą muszą pożegnać nie tylko szlak zielony, ale i ww. Park Narodowy. Niebieski szlak sprowadza tymcza-
sem wzdłuż szosy w dół. Znowu w dolinie Dańczówki(!), tym razem wśród nielicznych zabudowań Darnko-
wa. – wsi, która nigdy nie liczyła nawet 200 mieszkańców. Trasa mija znak przystanku autobusu szkolnego. W tym miejscu warto dodać, że na mapie „Kotlina Kłodzka” z 1960 r. przystanek autobusowy zaznaczono bardzo daleko od tego znaku, bo po drugiej stronie masywu Kruczej Kopy, przy Drodze Stu Zakrętów. Pod-
pisano go jako „Darnków”. Symbolu przystanku nie było już w tamtym miejscu na mapie „Kotlina Kłodzka” z 1967 r., ani w późniejszych jej wydaniach (z lat 1969 i 1971). Jakiś przystanek prawdopodobnie istniał tam przez pewien czas. „Urzędowy Rozkład Jazdy Autobusów PKS 1 VI – 27 IX 1958” w tabeli 643, w wyka-
zie dworców i przystanków, pomiędzy pozycjami „Kudowa Zdrój” i „Karłów” podaje bowiem nazwę „Dan-
ków n.ż.” (nie zaś „Darnków n.ż.”). Wg niego pojazd PKS zatrzymywać się tam mógł 4 razy na dobę – o 8:58,
12:18, 14:38 i 19:28. Nazwa „Danków n.ż.” (a nie „Darnków n.ż.”) pojawiła się też w późniejszej edycji roz-
kładu jazdy. Zatrzymywać się tam mogło nawet jeszcze więcej autobusów. Ciekawe to o tyle, że nie było miej-
scowości o nazwie „Danków”. Ba, nie było tam żadnej zwartej zabudowy. Zabudowania Darnkowa w dolinie
Dańczówki (który w 1945 r. nosić miał też nazwę Tarnówka) leżały zaś, patrząc z perspektywy tamtego przy-
stanku, bardzo daleko. Dosłownie za górami, za lasami.

Piechurzy zdążający niebieskim szlakiem mają tymczasem przed sobą zejście wzdłuż wąskiej asfaltowej
drogi. A jakie widoki! Z prawej zbocze Kruczej Kopy, po której wyższych partiach jeszcze nie tak dawno węd-
rowali. Z lewej natomiast nie mniej okazałe zbocze Darnkowskich Wzgórz – czyli to, co jeszcze czeka na węd-
rujących tą trasą. Przed sobą mogą oni zaś nasycić oczy widokiem dużego zbiornika wody pitnej. Szlak spro-
wadza jeszcze wzdłuż szosy nieco w dół, aż do miejsca, w którym skręca z niej w lewo (dotąd od szlakow-
skazu w Dańczowie ok. 3 godz.). Rozpoczyna się kolejne, dość mozolne podejście gruntową drogą przez las.
Wyżej jest jeszcze stromiej, las zaś nieco przerzedzony. To teren dość dziki, odludny i – co tu dużo mówić – po

prostu piękny. Szlak trochę kluczy, prowadzi wyżej skrajem lasu i zarastających krzewami oraz drzewami łąk. Dalej wyprowadza zaś na pas otwartych, niezwykle widokowych łąk. No cóż, tu znów pewnie cisnąć się będzie do ust jedno słowo opisujące ten teren: pięknie. I to bardzo. Dla wędrowców miejsce to będzie też o tyle ważne, że oto osiągną opodal wierzchołek Góry Cisowej (723 m) – najwyższy punkt opisywanej trasy. Stamtąd czeka ich na sporym odcinku szlaku zejście w dół – najpierw przez las, później znów skrajem lasu i łąk. W pewnym momencie ze szlaku widać pojedyncze, bardzo nieliczne bu-



**Lepięznik różowy (*Petasites hybridus*)
przy szosie łączącej Gołaczów z Kulinem Kłodzkim**

dynki Darnkowa, w tym np. zabudowania siedziby Związku Buddyjskiego Khordong w Polsce. Tymczasem piechurzy, idąc drogą przez otoczone lasami łąki, dotrą po chwili do skrzyżowania szlaków niebieskiego i żółtego. Na stosowny szlakowskaz składa się m.in. tabliczka z tekstem „Żyznów 684 m”. Żyznów to dawna wieś, której teren należy obecnie do obrębu ewidencyjnego Gołaczów. Ze szlaku prowadzącego dalej w dół grunтовую drogą uważni obserwatorzy dostrzegą – to z lewej, to z prawej – jej pozostałości. Po lewej, nieco dalej od drogi, którą prowadzi szlak, widać też samotną budowlę. Droga doprowadza następnie do zwartych zabudowań Gołaczowa, a wreszcie i do skrzyżowania z asfaltową szosą w tej wsi. Tam piechurzy maszerujący do Kulina Kłodzkiego muszą skręcić w lewo. Rozpoczyna się ostatnie na trasie podejście. Szlak prowadzi tu wzdłuż wspomnianej szosy ładną doliną bezimiennego potoku stanowiącego dopływ Dańczówki. Z lewej widać zbocza Średniej Kopy (746 m), z prawej zaś grzbietu Grodźca. Ten ostatni leży już bezdyskusyjnie we Wzgórzach Lewińskich, będących *de facto* mikroregionem Gór Stołowych. Idąc dalej, po lewej stronie mija się krucyfiks stojący na postumencie. Wiosną, idąc jeszcze dalej, można natknąć się na piękne okazy lepiężnika różowego (*Petasites hybridus*). Od ostatniego skrzyżowania w Gołaczowie potrzeba ok. 20 minut, aby zobaczyć z kolei tabliczkę z napisem „Kulin”. Mija się nieliczne zabudowania, a później, nieco dalej, przystanek autobusu szkolnego. Obok na drzewie wisi m.in. tabliczka z tekstem „Kulin Kłodzki stacja kolejowa 627 m n.p.m.”. Czy to koniec szlaku? No cóż, jeżeli ktoś zechce udać się na peron przystanku kolejowego o wymienionej ostatnio nazwie, aby pojechać pociągiem np. do Kudowy-Zdroju, ma już niedaleko. Ale jak zechce przedtem „dopełnić formalności” dojścia w rejon, skąd widać kółeczko oznaczające koniec szlaku, to zostało jeszcze ok. 200 metrów do przejścia. Wkrótce na słupie widnieje ten charakterystyczny znak. Chcąc pojechać pociągiem trzeba teraz zawrócić i dojść na peron.

Od początku opisywanej trasy – czyli szlakowskazu w Dańczowie (w pobliżu przystanku autobusu szkolnego i budynku nr 25) – do końca szlaku w Kulinie Kłodzkim (ok. 12 km) wędrowka zajmie ok. 5 godzin.

O ile piechurzy chcieliby do miejsca przy ww. szlakowskazu w Dańczowie dotrzeć ze stacji kolejowej Kudowa-Zdrój, mogą przejść ten odcinek np. podążając wzdłuż szos przez Jeleniów (uwaga na pojazdy! – jak wzdłuż wszystkich dróg). Taka trasa (ok. 3,5 km) zabierze dodatkowo w przybliżeniu 1 godzinę marszu.

Uwaga: wszystkie podane czasy to tylko sam marsz (bez przerw, na które należy doliczyć dodatkowe minuty) w warunkach letnich, przy korzystnej do wędrowki pogodzie. Dokładny czas trwania wędrowki, a także całkowity czas przejścia trasy zależą od wielu różnych okoliczności.

Bartosz Skowroński

Piryn, Piryn...

W repertuarze piosenek turystycznych od lat znajduje się chętnie śpiewana przy ogniskach smętna „Watra” o uroku gorczańskich nocy: *Jasno płonie watra w lesie...* Swoją drogą, początek brzmi z lekka alarmistycznie – watra w lesie! – trzeba raczej wzywać straż, a nie zajmować się gotowaniem barszczyku, o czym mówi ostatnia zwrotka. Zresztą bezpretensjonalny tekst nie pretenduje do poetyckich laurów, a swą popularność piosenka zawdzięcza prostej, nieco rzewnej i wpadającej w ucho melodii. Tę melodię poznałem dużo wcześniej niż „Watrę” i to z zupełnie innym, wówczas egzotycznym dla mnie tekstem,



Biwak-marzenie: wokół góry i nigdzie żywej duszy

kiedy paru kolegów z Akademickiego Klubu Turystycznego we Wrocławiu przywiozło ją z pierwszej zagranicznej wyprawy – do odległej, leżącej za kilkoma „granicami przyjaźni” i nikomu nieznannej Bułgarii.

Pod koniec lat 60. (oczywiście XX wieku!) w grupce przyjaciół mogliśmy już na własne oczy i na własnych nogach podziwiać wspaniałe bałkańskie góry – Rile i Piryn. W Rile poznaliśmy kilka świetnych miejsc, jak chociażby Ribni jezera, Malowica, Strasznoto jezero, ale Piryn zrobił na nas większe wrażenie – swoim alpejskim (może lepiej „tatrzańskim”) charakterem, wielkimi cyrkami polodowcowymi z mnogością jezior, rozległymi panoramami i... swobodą poruszania się niekoniecznie po szlakach, biwakowania niekoniecznie przy schroniskach. Rila była niejako obowiązkowa, nie tylko z powodu słynnego Rilskiego Monastynu, ale głównie ze względów prestiżowych – trudno tam być i nie wejść na najwyższy szczyt, Musalę (2925 m n.p.m.), który jest też rekordzistą na całym Półwyspie Bałkańskim, górując 7 (słownie: siedem) metrów nad odległym o 200 km Olimpem (dokładnie: nad szczytem Mitikas – najwyższym w tym masywie). Jest ciekawostką, że w bułgarskim dość obszernym przewodniku „Ptevoditel za Rila” z 1958 r., który wtedy mieliśmy, słowo „Musała” pojawia się chyba tylko raz (i to w nawiasie), za to wszędzie jest „Vrch Stalin” (nawet nie „Stalina”), a poniżej szczytu jest *chiža* (schronisko) „Stalin” i są Stalinskie jezera. Prawdę mówiąc, nie było to wówczas zbyt szokujące, bo w latach 1949–1959



Jezioro Popovo (Papazgoł)

również nasz Gerlach oficjalnie był Szczytem Stalina (po słowacku *Stalinov štít*), a w Pamirze Pik Stalina (7495 m n.p.m.) przetrwał do 1962 r. zamieniony później na Pik Komunizmu (teraz tadżycki *kullai Ismoli Somoni*). Znamienne, że ów Pik Stalina, najwyższy w całym ZSSR, znacznie przewyższał Pik Lenina, drugi w Pamirze (7134 m n.p.m., teraz nazywany Szczytem Awicenny, czyli *kullai Abuali ibni Sino*) – oto subtelności polityki historyczno-geograficznej na najwyższym poziomie! W Pirynie obowiązywały zupełnie inne obyczaje toponomastyczne – zachowało się tam sporo starych, pochodzących z czasów Imperium Osmańskiego, tureckich nazw dodających (w naszym odbiorze) uroku poznawanym górcom, choć zapewne budzących ambiwalentne odczucia Bułgarów.



Widok z Poleżana (Mangyrtepe)

Kiedyś, przy jakichś schroniskowych pogaduszkach, dostałem „z pierwszej ręki” słowa wspomnianej piosenki, jak się okazało – bardzo tam popularnej i to do tego stopnia, że nazywanej czasem hymnem Pirynu. Dziś można ją znaleźć na YouTube w wykonaniu solowym lub jako podkład do filmików krajoznawczych, bo świetnie spełnia rolę reklamówki tych gór, typu „Co warto zobaczyć w...”. Podany niżej tekst (dla nieznających cyrylicy również w transkrypcji fonetycznej) daje się z grubsza zrozumieć nawet bez znajomości języka oryginału, ale wymaga objaśnień, ponieważ w tych czterech zwrotkach (pierwsza bywa powtarzana jako refren) występują nazwy, z których kilku próżno szukać na współczesnych mapach, więc dla amatorów „wędrowania ze zrozumieniem” przypisy wydają się tym bardziej na miejscu.

*Ой красив си Пирин, Пирин¹
Най-красив си на света
Покоряваш ти сърцата
На най-смелите чада.*

*Oj, krasiv si Pirin, Pirin
Najkrasiv si na sveta
Pokorjavas ti srcata
Na najsmelite czada.*

*Ще отида на Папазгьол²
Под Мангър, Мангър-тепе³
Ще се кача на Дженгала⁴
И ще викна с буен глас⁵*

*Szte otida na Papazgol
Pod Mangyr, Mangyrtepe,
Szte se kacza na Džengala
I szte vikna s buen głas*

*Каменица⁶ се издига
Под лазурний небосклон
А до нея Белемето⁷
Крие прелести безброй*

*Kamenica se izdiga
Pod łazurnij neboskłon
A do neja Belemeto
Krie prelesti bezbroj*

*Элтепе⁸ се горд издига
С белоснежна си снага,
Еделвайсът⁹ – нежно цвете,
крие в мощна си снага.*

*Eltepe se gord izdiga
S belosnežna si snaga
Edelvajst – nežno cvete
Krie w moszna si snaga*

1) Przyjmuje się, że nazwa całej grupy górskiej Piryn pochodzi od imienia prasłowiańskiego boga Peruna, choć są też hipotezy wywodzące ją od trackiego *perintos* oznaczającego skały. W starożytności był opisywany jako Орβηλος (gr.) lub *Orbelus* (łac.), czyli śnieżnobiały. Różnorodność krajobrazu wynika z budowy geologicznej: część masywu tworzą granity, a część – i to tę najwyższą wyniesioną – przeobrażone wapienie

występujące w postaci białych marmurów. Malownicze kotły polodowcowe mieszczą liczne, większe i mniejsze jeziora górskie, których w całym Pirynie jest ponad 170.

2) Papazgöl (tur. *göl* = jezioro; *papaz* = ksiądz). Pochodzenie tej nazwy (po bułgarsku *Popovo ezero*) tłumaczy legenda o porwanej do haremu jakiegoś baszy córce popa, który szukał jej w górach i z rozpaczy utopił się w jeziorze. W duchu tej smutnej opowieści okrągła wysepka bywa nazywana *Kalimjawka* lub po prostu *Popova szapka* (charakterystyczne cylindryczne nakrycie głowy duchownych prawosławnych). Jezioro Popowo jest największym i najgłębszym jeziorem w Pirynie.

3) Mangyrtepe (tur. *tepe* = szczyt; *mangir* = moneta), nazwa obecna: Poleżan, najwyższy granitowy szczyt Pirynu (2850 m n.p.m.). W północno-zachodniej części masywu znajdują się jeszcze trzy wyższe, ale tamte są marmurowe. Dawna nazwa nawiązuje do płaskich kamieni klekoczących przy każdym kroku dość uciążliwego podejścia na kopułę szczytową.

4) Dżengał – piękny szczyt granitowy (2730 m n.p.m.) ze wspaniałym widokiem, chluba wszystkich, którzy nań weszli (*My džengalisty*). Wejście nie przekracza możliwości doświadczonego turysty, choć wymaga pewnej orientacji w terenie (50 lat temu były jeszcze jakieś resztki, chyba nieoficjalnego, szlaku) i czasem trzeba sobie pomagać rękami. Nazwa (z wariantem *Dżangał*) podobno oznaczała kiedyś dojną owcę, która straciła swoje jagnięta; inni twierdzą, że to imię bożka z mitologii słowiańskiej.

5) Spotykaliśmy grupy turystów, którzy zatrzymywali się w pewnych miejscach i chóralnie, donośnym głosem (jak każda piosenka) krzyczeli: *Echoooo!* – czekając na odpowiedź (relikt niemodnych przyjemności niegdyśszego zwiedzania gór – echo w górach bywa fantastyczne!)

6) Kamenica (2822 m n.p.m.) – rozłożysty granitowy szczyt, stosunkowo łatwo dostępny bez szlaku od wschodu z doliny Treta Reka. Dobry punkt widokowy na najwyższe partie Pirynu z jego marmurowym jądrem na horyzoncie. Najbardziej okazałe trójkąt Kamienicy prezentuje się z cyrku Belemeto, skąd do szczytu jest ok. 300 m przewyższenia.

7) Belemeto – obszerny polodowcowy cyrk o wyrównanym dnie, leżący na północ od szczytu Kamenicy, a w nim osiem stałych jezior (Małokameniszki eзера). Największe, o powierzchni 61 ha (przez pewien czas nazywane Goljamo ezero, czyli „wielkie”, a obecnie Tewno ezero, czyli „ciemne”), leży na wysokości 2512 m n.p.m. w otoczeniu szczytów o wysokościach przekraczających 2600–2800 m n.p.m. Nazwa Belemeto być może pochodzi od tureckiego *bekleme* (strażnica) lub *bi-lime* (miejsce na koszar dla owiec).

8) Eltepe lub *El-Tepe* – tłumaczone jako „góra burz”, choć tureckie *tepe* oznacza górę, szczyt, a *el*, to dłoń, ręka. Może najwłaściwiej by było „Góra”, jak w niemieckiej



Dżengał. Na horyzoncie dwie białe piramidy: Kutela i Wichren



Brawo my! Na Wichreniu w lipcu 1967 r.

reklamie pewnej marki samochodów – *Das AUTO*. Nazwa Eltepe obowiązywała do roku 1942; obecnie jest to Wichren (*Vichren*) – najwyższy szczyt Pirynu (2914 m n.p.m.). Biała, goła marmurowa piramida i bliźniacze Kutelo (czasem występuje pod nazwą nazwa Kutela) wyniesione ponad okoliczne szczyty robią wrażenie – zarówno oglądane z daleka, jak i z bliska. Punktem wyjściowym, do którego doprowadza szosa z Banską, jest schronisko Wichren, położone niemal 1000 m poniżej szczytu. Ze schroniska na szczyt potrzeba co najmniej 2,5 godziny mozolnego podejścia. Od zachodu, przy szlaku od schroniska Banderica, znajduje się schron zachowujący dawną nazwę (*zasłon Eltepe* lub teraz częściej: *Kazana*).

9) Ten „edelwajst”, różnie pisany, króluje w większości języków europejskich – tak odmiennych jak niemiecki i rosyjski, a nawet litewski czy turecki. Na tym tle wyróżnia się rumuńska *albumeală*, choć wydaje się, że polska przytulna i skromna „szarotka” jest określeniem bezkonkurencyjnym, znakomicie oddającym urok tej rzadkiej roślinki.

Zdumiewające, że w piosence brak wzmianki o Konczeto – jednej z największych atrakcji, opisywanej jako najstraszniejsza grań Pirynu. Jest to grań łącząca na wysokości ok. 2800 m n.p.m. Banski Suchodoł (2884 m n.p.m.) i Kutelo (2908 m n.p.m.) w głównym grzbiecie odchodzącym na północ od Wichrena. Po bułgarsku *konczeto* znaczy „konik” (na biegunach) i sugeruje, że można na nim usiąść okrakiem, co niewiele odbiega od rzeczywistości. Przepaścista, ostra grań ma ok. 400 m długości, z czego 150 m bardzo wąskiego (miejscami 50 cm) grzbietu. Po jednej stronie ściana opada 300 m pod nachyleniem 70°, druga jest mniej stroma, ale ma ok. 800 m wysokości. Przejście tego odcinka z wypchanym i ciężkim plecakiem stanowiło pewne wyzwanie. Teraz, co widać na licznych zdjęciach zamieszczanych w Internecie, wbito stalowe słupki i rozpięto stalową linę, więc jest bezpieczniej, ale nieuchronnie nasuwają się skojarzenia z łańcuszkami ogradzającymi chodnik przy ruchliwych skrzyżowaniach ulic w mieście i... już nie jest tak straszno.

W sieci można znaleźć dziesiątki filmików i setki zdjęć, niekiedy bardzo pięknych, z różnych zakątków Pirynu. Przypominają oglądane swego czasu widoki, ale nie pobudzają wspomnień, tak jak własne czarno-białe fotografie lub wyblakłe przezrocza zrobione pół wieku temu na filmach ORWO Color kupowanych za pobiegliwie w NRD (pewnie i tu już trzeba by zrobić przypisy wyjaśniające minioną epokę). W każdym razie utwierdzają w przekonaniu wyrażonym słowami refrenu: *Oj, krasiv si Pirin, Pirin...* Doprawdy – piękne góry!

Witold Komorowski

Konczeto po przejściu. Z tyłu Kutelo i przestłonięty chmurką Wichren



Konczeto – jak tu iść?!



Jelenia Góra w Himalajach

Czy stwierdzenie zawarte w tytule jest zasadne? Czy to możliwe? Otóż jak najbardziej, bo skoro mówi się Jelenia Góra w Karkonoszach, to dlaczego nie Jelenia Góra w Himalajach?

W lipcu 2017 roku dwoje mieszkańców Jeleniej Góry, Elżbieta Sznajder i Krzysztof Tęcza, podczas całomiesięcznego pobytu w Indiach dotarli w swojej podróży przez nizinny Pendżab do Małego Tybetu. Po zwiedzeniu stolicy Indii (gdzie obejrżeli m.in. dom Indiry Gandhi, Bramę Indii, miejsce, gdzie zastrzelono Mahatmę Gandhiego i Meczet Piątkowy) dotarli do Amritsaru, miasta, w którym znajduje się Złota Świątynia uważana za najświętsze miejsce Sikhów. Koniecznie trzeba tam odwiedzić również Ogród Dżalianwali, miejsce martyrologii Hindusów z czasów walk o niepodległość z Brytyjczykami. Podczas sprzeciwu wobec brytyjskiego panowania zginęło tam około półtora tysiąca ludzi.

O Kaszmir wciąż toczy się wojna, ponieważ jego teren został sztucznie podzielony pomiędzy Indie a Pakistan. Nie ma tutaj właściwej granicy między tymi państwami, jest tylko linia demarkacyjna. Co prawda uczestniczyliśmy w organizowanej codziennie w Attari uroczystości zamknięcia przejścia na granicy pakistańsko-indyjskiej, co było dla nas niezwykle wyjątkowym wydarzeniem, jednak poza zwiedzeniem Złotej Świątyni nie udało nam się wiele zobaczyć. W nocy bowiem, kiedy tam przybyliśmy, miała miejsce potyczka między partyzantami a armią rządową, w wyniku której zginęło 6 partyzantów i rano musieliśmy zrezygnować ze zwiedzania starego miasta, by natychmiast wylecieć samolotem do Śrinagaru – stolicy Kaszmiru położonej w himalajskiej kotlinie nad jeziorem Dal.

Tam zamieszkaliśmy w miasteczku na łodziach zakotwiczonych na jeziorze. Na łodziach mieszka 10% mieszkańców Śrinagaru, czyli około 100 tysięcy ludzi. Kilkudniowy pobyt w tej miejscowości pozwolił nam na nabranie sił przed właściwą wspinaczką w Himalajach. Nie obyło się jednak bez przygód. To tutaj zobaczyliśmy po raz pierwszy jak wygląda deszcz monsunowy. Czterdziestominutowa ulewa podniosła poziom jeziora o kilkadziesiąt centymetrów, a miasto zostało całkowicie zalane przez muł spływający z gór.

To, co przeżyliśmy, było niesamowite, ale uczestniczyliśmy tu także w miłych wydarzeniach. Właściciele łodzi urządzili swojej córce ważną w życiu każdej kobiety uroczystość ukończenia 13 lat, kiedy to dziewczyna osiąga wiek, w którym powinna wyjść za mąż. Życzyliśmy jej wszystkiego dobrego. Także tutaj obejrzeliliśmy piękne ogrody cesarzy mogolskich i dotarliśmy do położonej na wzgórzu jednej z najstarszych świątyni hinduskich. Największe wrażenie zrobił na nas wodny targ warzyw oraz miejscowa wytwórnia dywanów.

Do tej pory nasza podróż wydawała się sielankowa. Jednak teraz miało się to zmienić. Ruszyliśmy bowiem w stronę Lehu, stolicy Tybetu. Po drodze zajechaliśmy do miejscowości Mulbek i Lamayuru, gdzie zwiedziliśmy klasztory tybetańskie. Gdy dotarliśmy do Lehu wiedzieliśmy, że jesteśmy w części Tybetu, która po chińskiej inwazji pozostała w granicach Indii. To tutaj znajduje się tybetański pałac górujący nad miastem, kiedyś siedziba rządu tybetańskiego, dzisiaj muzeum. Mieliśmy szczęście, ponieważ kiedy wybraliśmy się tam rano, akurat z góry zjeżdżała kolumna samochodów eskortująca opuszczającego miasto Dalajlamę. Ten, siedząc w samochodzie, uśmiechał się i machał ręką do wszystkich, którzy wyszli na ulicę, by go pożegnać. Muszę przyznać, że było to spore przeżycie.

Leh na jakiś czas stał się naszą bazą wypadową. Stąd wyruszaliśmy do okolicznych dolin. Najpierw były to doliny Hemis i Tikse. Nocowaliśmy nad brzegiem jeziora Pangong, które, jak inne w Himalajach, ma słoną wodę.

Najbardziej emocjonującą częścią wyprawy był przejazd wynajętym dżipem nad wysokogórskie jezioro Tsomoriri oraz do doliny Nubry. Początkowo nic nie zapowiadało wielkich emocji, jednak gdy



zaczęliśmy wspinać się pod górę, gdy zobaczyliśmy wijące się serpentyny drogi, którą mieliśmy pokonać, byliśmy coraz bardziej podekscytowani. Nie dość, że widok przepaści (gdzie od czasu do czasu dostrzec można było samochody, które się tam ześlizgnęły) wywoływał u nas napady lęku, to jeszcze ruch na drodze był tak niesamowity, że nie mogliśmy zapamiętać nad nerwami. Dobrze, że wynajęty samochód miał w pakiecie miejscowego kierowcę. Bez niego pewnie nie wrócilibyśmy żywi. Jego umiejętności oraz zdecydowanie nieraz uratowały nam życie. Podziwialiśmy jego wyczyny, gdy na wąskiej drodze wyprzedzał nieprzygotowanych do takiej trasy kierowców. Zdarzało się, że w miejscach, gdzie inni stawali – bo albo z góry spływała woda, albo po prostu było zbyt ciasno – on nie zatrzymywał się, tylko prowadzony jakimś siódmym zmysłem, omijał wszystkich i wciąż jechał do przodu. Nic dziwnego, że po przejechaniu „drogi śmierci” nasze uznanie zostało wyrażone hojnym napiwkami.



Kilkunastodniowy pobyt w rejonie położonym na wysokości 3–4,5 tysiąca metrów pozwolił na bardzo dobrą aklimatyzację. Dlatego też nie mieliśmy specjalnych problemów podczas podróży wysokogórskiej, gdy docieraliśmy kolejno na przełęcze położone na wysokości 4900, 5100, 5360 i w końcu 5600 metrów n.p.m. Oczywiście największe emocje wzbudziło w nas dotarcie na NAJWYŻEJ POŁOŻONĄ NA ŚWIECIE PRZEJEZDĄ PRZEŁĘCZ Khadrung La. Wysokość 5600 metrów nad poziomem morza była dla nas naprawdę dużym osiągnięciem. Powietrze jest tutaj na tyle rzadkie, że gdy pozwoliliśmy sobie na krótką przebieżkę, od razu to poczuliśmy. Zrobiło nam się duszno, poczuliśmy ucisk w sercu i musieliśmy szybko przystopować.

Naszym założeniem w momencie wyjazdu było pokazanie na najwyższym miejscu w Himalajach, do którego dotrzemy, że przybyliśmy tu z Karkonoszy. Dlatego w tym dniu (choć nie tylko) założyliśmy koszulki z napisem Jelenia Góra w Karkonoszach. Co prawda niełatwo było nam je zdobyć, ale jakoś się udało.

Zanim dotarliśmy na przełęcz Khadrung La, pokonaliśmy inne, nieco niższe, leżące na drodze naszej podróży. Jednak dopiero na wysokości 5600 metrów n.p.m. zdaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy tak wysoko. Nie dość, że czuliśmy spowolnienie w organizmie, to i oddech był trochę płytszy niż zazwyczaj. Zdziwił nas fakt, że na przełęczy jest tak dużo ludzi. W większości byli to Hindusi, jednak trafiali się przedstawiciele innych krajów. My, dzięki napisom na koszulkach, wyróżnialiśmy się z tłumu. Od razu usłyszeliśmy: *A my jesteśmy z Rzeszowa, my z Poznania*. Okazało się, że Polaków było tam więcej, nie tylko nasza 9-osobowa grupa, ale nikt poza nami nie miał takich ładnych koszulek. Zdziwienie wzbudzał także fakt, że większość przebywających tam osób ubrana była w grube kurtki i ciepłe odzienie. My mieliśmy założone koszulki z krótkim rękawem i było nam ciepło. Miejscowi jednak odczuwali to inaczej. Fakt, na przełęczy, a także przed nią, zalegał śnieg, jednak jakoś nie wiało od niego chłodem.

Teraz, gdy już jesteśmy w domu, zastanawiamy się, co było w tym miejscu najbardziej dla nas kłopotliwe. Myślimy, że kolejka do toalet – aby skorzystać z nich, trzeba było odczekać swoje. Brak tam ustronnych miejsc. Po drodze nieraz widzieliśmy, jak ludzie korzystali z leżących kamieni, by schować się za nimi. Zresztą my czyniliśmy tak samo.

Kolejnego dnia, dla wytchnienia, odwiedziliśmy klasztor w Alchi, a później dotarliśmy do Manali. Po drodze napotkaliśmy tak gęstą mgłę, że nawet nasz doświadczony kierowca nie bardzo wiedział, czy jedzie jeszcze drogą, czy już wjeżdża w przepaść. Ba, gdy zjechaliśmy niżej, gdzie pojawiła się roślinność, złapał nas kolejny deszcz monsunowy. Wszystkie pojazdy stanęły, by przeczekać nawałnicę. Po chwili poczuliśmy, jak nasz samochód zaczyna spływać w stronę przepaści. Na szczęście szybka reakcja kierowcy uratowała nas przed przemieszczeniem się o kilkaset metrów niżej – włączył silnik i z całym impetem wbił się w zbocze góry, gdzie rosnące rośliny zakotwiczyły nasze auto. Tak przeczekali pół godziny ulewy.

Manali to miasteczko, do którego dawniej chętnie przybywali hipisi. Nawet dzisiaj ich tutaj widać. Spędziliśmy tam kilka dni. Nasze zdziwienie wywołał fakt, iż nawet w rowach przy ulicy rosły konopie. Jakoś nikomu to nie przeszkadzało. My rozerwaliśmy się, dosłownie, na diabelskim kole. Piszę dosłownie, bo gdy już siedzieliśmy w wagonikach okazało się, że wszystko działa na słowo honoru. Uczucie, gdy dojeżdżało się do zenitu powodowało chęć, by natychmiast znaleźć się na ziemi, co niestety nie było możliwe. Jakimś cudem przeżyliśmy.



Odetchnęliśmy dopiero, gdy dotarliśmy do górskiego miasteczka Shimla. Była to letnia stolica Indii za panowania Brytyjczyków. Na początku zdziwiło nas, że we wszystkich oknach zainstalowane są solidne kraty. Po pierwszej nocy już się nie dziwiliśmy. Okazało się, że jest to najskuteczniejsza ochrona przed małpami. Kiedyś, gdy Indie były zagrożone najazdem, władca małp pomógł ocalić kraj i dlatego małpy zostały uznane za święte. Nie wolno im robić krzywdy, dlatego też robią co chcą. Na górze nad miastem wzniesiono kilkudziesięciometrowej wysokości pomnik przedstawiający małpiego generała. Nie jest łatwo tam dotrzeć, ale warto. Widok na miasto, jaki się roztacza z tamtego wzgórza, jest niesamowity. Oczywiście przeżyliśmy bliskie spotkanie z małpami. Wykorzystując naszą nieuwagę czy może brak wiary w opowiadania miejscowych, zdejmowały nam z nosów okulary, które po chwili wymieniały na torebki z jedzeniem.

W Simli znajduje się wpisana na listę zabytków UNESCO kolejka górska. Wygląda na to, że po wyjściu Anglików z Indii, poza malowaniem i wymianą szyn nic w niej nie robiono, a wciąż jeździ. My przejechaliśmy nią pod wzgórze, na którym stoi pałac wicekrólów Indii. Dzisiaj jest to częściowo muzeum, częściowo uniwersytet. Jego wielkość wywołuje spore wrażenie. Jednak panująca w murach wilgoć nie jest wskazana dla alergików.

Po wyjeździe z Tybetu, czyli krainy wysokich przełęczy, dotarliśmy do świętego miasta hinduizmu – Haridwaru. Można tutaj zażyć oczyszczającej kąpeli w nurcie Gangesu. Woda jest nie tylko czysta, ale i bardzo zimna. Wszak jesteśmy u stóp Himalajów! Gdy wchodzi się do rzeki, najlepiej przytrzymać się rozmieszczonych gęsto łańcuchów. Inaczej prąd wody porwie człowieka i można się utopić. Gdy zobaczyliśmy tysiące ludzi zażywających kąpeli, postanowiliśmy także oczyścić nasze ciała. Jak się okazało, oprócz kurzu spłynęły z nas także wszystkie grzechy, które popełniliśmy we wszystkich poprzednich wcieleniach. Hindusi, gdy zobaczyli „białasów” wchodzących do wody, od razu otoczyli nas kręgiem i zaczęli podawać słowa mantry. Byli bardzo radzi, że postanowiliśmy zażyć razem z nimi kąpeli. My zaś, poruszeni ich uprzejmością, przybyliśmy ponownie nad Ganges wieczorem, na modły z ogniem. Trzeba przyznać, że byliśmy oczarowani tym, co nas spotkało.

Po tak wyczerpującej podróży wróciliśmy do Delhi, by obejrzeć jeszcze kilka ciekawych miejsc. Najbardziej jednak zachwyceni byliśmy przejażdżkami riksą. To niesamowite, jak prowadzący te pojazdy potrafią przetrwać na ulicach. Nie dość, że mijają się „na styk”, to nie powodują żadnych wypadków. Ich pojazdy nie mają najmniejszej rysy.

I tak, po miesiącu wędrówki wróciliśmy do domu. Lot z Delhi trwał tyle, co jazda pociągiem do Warszawy. Było fantastycznie, poznaliśmy nowe obyczaje, zabytki, no i góry. W naszej pamięci pozostanie nie tylko kąpiel w Gangesie czy spotkanie z Dalajlamą, ale także przejażdżka na dwugarbnych wielbłądach czy świstaki himalajskie, zarówno te proszące o ciastka, jak i te dzikie, uciekające przed nami. Zapamiętamy ciepłą wodę – ze źródeł, jak i gejzerów. Jednak przede wszystkim zapamiętamy ludzi, serdecznych i życzliwych, miłych i uczynnych. To dzięki nim nasz wyjazd się udał. Dzięki nim zmieniliśmy nasze postrzeganie Indii.

Krzysztof Tęcza



Nieposypane szlaki – odsłona 2017/18

Często biedny turysta staje wobec sytuacji bez wyjścia. No bo jak tu wędrować, gdy nie ma zasięgu telefonii komórkowej, a właśnie idąc np. Ścieżką nad Reglami omawiam z kontrahentem ważną umowę? Jak wędrować, gdy ścieżka zaladzona i nieposypana piaskiem, pod nogi nie patrzę, bo śledzę pilnie, co pokazuje ekranik smartfona; jak tu iść ze Zwardonia na Wielką Raczę, gdy szlak nieodsłonięty; jak wracać z Morskiego Oka tyle kilometrów na parking nieoświetloną drogą? Ani jednej latarni, nic! Zgroza wyziera zza każdej wany i drzewa, a strach ogarnia idących. Do tego pełne zwierza bory i pełno zbójców na drodze.

Tak kiedyś pisałem, a to nie żarty. Jak zawsze pod koniec roku, podczas szczytu pobyтового w Zakopanem wybuchła „afera” na drodze z Morskiego Oka do postoju fasiągów (sań) na Włosienicy. Jak relacjonuje „Tygodnik Podhalański” *około godz. 13 na zjazd do Palenicy Białczańskiej czekało 300 osób w wieku od 19 do 35 lat. Kolejka sięgała aż do schroniska. Większość osób piła piwo albo wino(*). Turyści zostali uprzedzeni wcześniej przez pracowników Tatrzańskiego Parku Narodowego, że ostatni zjazd odbędzie się o godz. 17. Na wieść, że nie wszyscy zmieszczą się w saniach oczekujący wszczęli awanturę.* Miejsca starczyło dla ok. 200 osób, głównie młodych. Niektórzy zażądali podwózki służbowym samochodem TPN, wzywali policję, TOPR i inne służby. Skończyło się na tym, że przyjechał radiowóz policji, który zamykał pieszą kolumnę „turyistów” i jadąc za nimi oświetlał drogę do Włosienicy. W rezultacie nacisków uzupełniono tabor i już grubo po godz. 17.00 ostatni tzw. turyści zostali zwiezieni na Palenicę (parking). Swoją drogą, ciekaw jestem dlaczego dopuszczono do tego, że **nietrzeźwi(*) kierowcy** wraz ze swoimi rodzinami zasiedli za kierownicami samochodów, by wrócić do kwater.

Można się zastanowić, co stanowiło problem w tej „aferze”? O co chodziło? Głównie o to, że nikt nie uprzedził, że w końcu grudnia po godz. 16.00 robi się ciemno! Jak iść w dół po równej drodze taki kawał? W komentarzu do tej hecy napisał ktoś: *Zeszliśmy na godz. 16.00 i nie było miejsca w saniach.* A kto powiedział, że będzie miejsce dla wszystkich? Czy ktoś to gwarantował? Sanie i fasiągi nie są regularną komunikacją miejską, godziny przewozów są określone i zainteresowani powinni się z nimi zapoznać biorąc pod uwagę, że może zabraknąć miejsca. A poza tym: jakież to problem przejść kilka kilometrów po asfaltowej drodze? Nawet wieczorem lub nocą? Tak trudno wyobrazić sobie, że zimą po południu robi się ciemno i trzeba mieć latarkę? Kompletny brak wyobraźni i traktowanie wypadu nad Morskie Oko w kategorii spaceru po oświetlonych Krupówkach. Kierownictwo schroniska nad Mokiem wyszło naprzeciw potrzebom „turyistów” i umieściło w jadalni ogłoszenie: **UWAGA! Dzisiaj w Morskim Oku po zmroku będzie ciemno.**

Jako kontra do tego wydarzenia pojawiła się wkrótce wiadomość o 5-letnim Arku, który odbył wycieczkę do



Na drodze do Morskiego Oka we wrześniu 1981 r.

Morskiego Oka na... wózku inwalidzkim – ze swoimi rodzicami, ale częściowo samodzielnie. Fragment drogi był odśnieżony (polecam zdjęcia na blogu **nakolkach.com**), wyżej pokrywała ją równa, ubita warstwa śniegu. To na pewno nie ułatwia pchania wózka. Dla Arka i jego rodziców nie był to nadzwyczajny wysiłek i żadna demonstracja, choć łatwo nie było. Zachęcam do odwiedzenia bloga pozostawiając jego treść bez komentarza.

Przełom 2017 i 2018 roku przyniósł tradycyjnie nawał wypadków w górach i interwencji TOPR. Nie sposób wymienić i omawiać wszystkie. W ciągu 4 dni TOPR interweniował w 23 przypadkach; z wyjątkiem kilku, w akcjach brał udział śmigłowiec, większość dotyczyła upadków na oblodzonych zboczach. Szczęśliwie nie było ofiar śmiertelnych, a skutki w postaci ogólnych obrażeń ciała można rozpatrywać w kategoriach cudu. W większości upadki były skutkiem braku właściwego wyposażenia, adekwatnego do warunków terenowych.

Ciekawie działo się również w Bieszczadach i na Babiej Górze. Tam także ratownicy nie narzekali na nudę. Były to głównie akcje poszukiwawczo-ratownicze. Turyści w trudnych warunkach (mgła, wiatr, opady śniegu) tracili orientację i wzywali pomocy. To wszystko w przy zagrożeniu lawinowym ocenianym na II stopień w 5-stopniowej skali. W Karkonoszach ogłoszono nawet „trójkę” – i tam goprowcy nie próżnowali prowadząc „dyskotekowo” odzianych „turyistów” ze Śnieżki.

Zapyta ktoś, i słusznie, co to wszystko ma wspólnego z PORADNIKIEM? Oto kilka dobrych rad dla chętnych na spacer do Morskiego Oka drogą Oswalda Balzera:

- Do wycieczki wybierać odpowiednią porę roku, unikać letnich wakacji i ferii zimowych oraz wiosennych przerw w nauce i pracy, także tzw. długich weekendów.
- W pozostałych okresach unikać weekendów. Do dyspozycji pozostaje czas od poniedziałku do czwartku.
- Zimą nie lekceważyć zagrożenia lawinowego. W szczególnych przypadkach, przy lawinowej „4” droga powyżej Włosienicy bywa zamykana przez TPN, istnieje bowiem niebezpieczeństwo zejścia lawiny na drogę ze zboczy Opalonego Wierchu. Najbardziej znane tory lawinowe to Głęboki Żleb i Biały Żleb. Nawet tak pozornie bezpieczne i nisko położone miejsce, jak zakręt drogi w okolicy Wodogrzmotów Mickiewicza narażone jest na lawiny schodzące Siwarym Żlebem spod Turni nad Dziadem. Ich lokalizacje proponuję sprawdzić na mapie Tatr.
- Od października do kwietnia patrzeć od czasu do czasu na zegarek, by nie zostać „zaskoczonym” przez zapadający zmrok. Mieć przy sobie (jak na KAŻDEJ wycieczce) latarkę, najlepiej czołówkę.
- **Na koniec rada dla TPN. Należałoby zlikwidować owe fasiagi i sanie, zresztą nie tylko na tej drodze. Zarobek to nie wszystko. Albo to górski park narodowy, albo jarmark, na coś trzeba się zdecydować. Kiedyś nie było tej komunikacji i turystyka w Tatrach nie upadła, natomiast nie było 10 000 ludzi dziennie przy Morskim Oku, potrażeń pieszych przez sanie i konie, nie było męczarni koni i awantur podpitej gawiedzi.**



Przed schroniskiem nad Morskim Okiem – 1982 r.

Juliusz Wyslouch

Rośliny chronione Sudetów

W poniedziałek 8 stycznia 2018 roku w Akademii Ekonomicznej w Jeleniej Górze zorganizowano kolejne szkolenie dla przewodników sudeckich. Tym razem przybył do nas dr Wojciech Giża, autor książki „Rośliny chronione w Sudetach”. Opowiedział o roślinach chronionych, ale nie tylko. Odniósł się do ostatniej zmiany w prawie, według której zmniejszył się wykaz roślin objętych całkowitą ochroną, a zwiększył znacznie wykaz tych pozostających pod ochroną częściową. Okazało się, że wiele chronionych roślin obejmuje swoim zasięgiem tak duże tereny, iż stały się one roślinami pospolitymi. Nie ma więc już potrzeby ich chronienia.



Dr Giża swój wykład rozpoczął od przedstawienia roślin występujących na przedwiośniu, a więc w porze roku, w której dobową temperaturę nie spada poniżej 5 stopni Celsjusza.

I tak, pod koniec lutego i na początku marca możemy zaobserwować kwitnącego **wawrzynka wilczelyko**, będącego rośliną bardzo trującą. Łodygi tego krzewu osiągają do 2 metrów wysokości. Jego kwiaty wyrażają bezpośrednio z łodygi wydzielając mocny zapach zwabiający motyle, pszczoły czy muchówki. Zapach przyciąga także trzmiele krótkopyszczkowe, które, aby dostać się do nektaru, wygryzają niestety dziurę w dnie kwiatowym. W dawnych czasach, gdy w cenie były nieuszkodzone skóry drapieżników, wykopywano dziury w ziemi, w których pozostawiano, jako wabik, kawał mięsa wraz z owocami wawrzynka. Gdy w taką pułapkę wpadł wilk, po kilku dniach czując głód zjadał zadane owoce wawrzynka i padał. Wtedy go sprawiano i sprzedawano nienaruszoną skórę.

Bluszcz pospolity to roślina przede wszystkim leśna oplatająca drzewa, ale często spotykamy także mury pokryte kobiercem bluszczu. Bluszcz jest długowieczny (spotykane są okazy mające ponad 500 lat), zielonolistny. Uważa się go za symbol miłości i pamięci. Często, gdy w pobliżu nie ma niczego, co mogłoby posłużyć tej roślinie za podporę, po prostu płóży się po ziemi i dlatego można ją spotkać na cmentarzach, gdzie tworzy sporych rozmiarów zielone kobierce. Bluszcz podobał się ludziom na tyle, że z dużą dozą prawdopodobieństwa można twierdzić, znalazłszy jego stanowisko, iż w tym miejscu była kiedyś osada ludzka. Roślinę tę wykorzystywano do robienia wieńców mających ozdabiać skronie zwycięzców bojów poetyckich. W zasadzie nie można określić wysokości, do której dorasta – jest to uzależnione od wykorzystywanej podpory. Bluszcz kwitnący jesienią wytwarza smaczny nektar, z którego produkuje się miód oraz piwo.

Kolejna roślina znana jest pod dwiema nazwami. Może to być **pierwiosnek** lub **pierwiosnka**. Jednak ze względu na fakt, iż występuje także ptak zwany pierwiosnikiem, właściwsze wydaje się używanie tego drugiego określenia. **Pierwiosnka wyniosła** z kwiatami o żółtym zabarwieniu wytwarza kwiaty dwójakiego rodzaju – o pręcikach różnej długości. Jest to roślina lecznicza i trująca. Jej kwiaty i korzenie wykorzystuje się w leczeniu schorzeń dróg oddechowych oraz do gojenia ran. Same kwiaty, które wpięte we włosy kobiet miały otwierać serca mężczyzn, nazywano kluczykami Matki Boskiej.

Lilia złotogłów to bylina cebulowa występująca w lasach, zaroślach i na zrębach. Nektar wytwarzany przez nią stanowi pokarm dla pożywiającego się za dnia fruczaka gołąbka, ale głównym jego „odbiorcą” jest

ćma zwana zawisakiem. Ćma przylatuje po zmierzchu, więc lilia wytwarza intensywny zapach, by ułatwić jej dotarcie do nektaru. Zawisaki mają do 5 cm długości, co powoduje, że niektórzy mylą je z kolibrami. W czasach głodu bulwy lilii zawierające dużo skrobi zastępowały ziemniaki.

Pełnik europejski posiada dwa rzędy płatków tworzących pustą w środku kulę. Jego nazwa pochodzi od staroniemieckiego *Trol* (kula) lub staroskandynawskiego *Troll* – karzeł pilnujący podziemnych skarbów. O wspomnianych skarbach świadczyła

złocista barwa kwiatów. Zamknięte kwiaty pełnika zapylane są przez muchówki z rodzaju śmietka. Aby jednak pozostawione larwy nie zjadały zbyt wielu nasion, roślina wytwarza allomony hamujące ich rozwój. Pełnik europejski jest roślinnym symbolem Ziemi Kłodzkiej znanym jako **róża kłodzka**.

Buławnik mieczolistny posiada białe kwiaty otwierające się tylko do pewnego stopnia. Wabi owady żółtą plamką umieszczoną pośrodku kwiatu. Owocem tego gatunku jest 2-3 centymetrowej długości torebka zawierająca około 6 tysięcy nasion. Buławnik to przedstawiciel najliczniejszego na świecie gatunku roślin, czyli storczyków.

Dziewięciśl bezłodygowy to bylina korzeniowa rosnąca głównie na łąkach. Posiada bardzo krótką łodygę, kłujące liście tworzące rozetę i kwiatostan o średnicy do 15 cm. Słowianie uważali, że roślina ta posiada dziewięć nadprzyrodzonych mocy lekarskich. Używana była m.in. do leczenia chorób kobiecych, przemywania ran i wrzodów. Posiada właściwości przeciwzapalne, przeciwrzodowe i ogólnowzmacniające. Dawniej dno kwiatowe było chętnie jadane i zwane myśliwskim chlebem.

Pokrzyk wilcza jagoda to gatunek stosowany od niepamiętnych czasów jako roślina lecznicza i mocna trucizna. Jej łacińska nazwa *Atropa* pochodzi od imienia bogini, która przecinała linię życia. Od XVI wieku kobiety używały owoców pokrzyku do barwienia policzków. Wpuszczenie do oczu kilku kropli ekstraktu z czarnych jagód tej rośliny powodowało rozszerzenie źrenic, co dodawało oczom blasku. Niestety, skutkiem ubocznym było, delikatnie mówiąc, nieostre widzenie. Dzisiaj pokrzyk stosowany jest w leczeniu astmy, choroby Parkinsona, ale także jako antidotum przy zatruciach grzybami. Najbardziej jednak znanym zastosowaniem tej rośliny jest używanie jej jako środka do rozszerzania źrenic w okulistyce.

Najbardziej znaną rośliną w Sudetach (i nie tylko) jest **mandragora**. Pierwsze wzmianki o niej pojawiły się setki lat temu. Jej korzeń przechowywano w bogato zdobionych szkatułach, miał bowiem moc całkowitego uleczenia wszelkich chorób, zapewniał także powodzenie w miłości. Często za korzeń mandragory płacono równowartość wioski. Nie ma w tym nic dziwnego, zważywszy na przypisywane mu właściwości i trudności w jego zdobyciu. Aby stać się posiadaczem korzenia mandragory, trzeba było wykopać go z ziemi, czyniąc to jednak nader delikatnie – tak, by obkopując roślinę nie uszkodzić jej. W przeciwnym razie wydawała z siebie krzyk tak przeraźliwy, że człowiek, który go słyszał, umierał. Dodam, że korzeń mandragory przypomina kształtem człowieka. Oczywiście człowiek szybko wymyślił sposób na bezpieczne wyrwanie mandragory z ziemi. Brał swojego najlepszego przyjaciela, czyli psa, głodził go przez kilka dni, następnie przywiązywał do mandragory, a w odległości kilku metrów stawiał miskę z jedzeniem. Głodne zwierzę, chcąc się posilić, wyrwało mandragorę, samo umierało słysząc przeraźliwy krzyk, ale jego pan mógł zabrać ze sobą wyrwaną roślinę stając się w jednej chwili bardzo bogatym człowiekiem. Z czasem dopatrzono się, że korzeń **żeńszienia** przypomina swoim kształtem korzeń mandragory i zaczęto oszukiwać nabywców podmieńając rośliny. Wtedy ani oszuści, ani nabywcy nie wiedzieli, że niechcący czynią dobrze, gdyż okazało się, iż żeńszeń posiada prawdziwe właściwości lecznicze, a mandragora tylko fikcyjne.

Rarytasem są nazwy dwóch roślin występujących w Sudetach. Pierwsza to **podejźrzon**, paproć rosnąca już miliony lat temu – wtedy olbrzymia, dzisiaj mająca ledwie 5-10 cm wysokości. Ma kolor zielony, więc trudno ją wypatrzyć w trawie, jednak jeżeli już raz ją zobaczymy, na pewno nie będzie problemu z ponownym jej rozpoznaniem. **Podejźrzon księżycowy** można spotkać m.in. na szczycie Śnieżki. Roślina ta używana



była w magii i ziołolecznictwie. Jej listki tworzą kształty podobne do księżyca w różnych jego fazach, sądzą więc, że płynąca zeń siła ma moc rozjaśniania ciemności, zamiany metali pospolitych w złoto oraz umożliwia podglądanie innych samemu pozostając niewidzialnym. Podejrzono używano jako maści na rany, a także leczono nim padaczkę.

Druga ciekawa nazwa to **nasieźrzał** – jedna z najważniejszych roślin mających dar zjednywania miłości. Zadana kobiecie lub mężczyźnie powodowała, iż ich oczy kierowały się ku sobie i odtąd nie mogli bez siebie żyć. W bardziej przyziemnych sprawach nasieźrzał stosowano jest jako składnik maści na rany, wrzody i oparzenia.

Na terenie Sudetów występuje **czosnek niedźwiedzi**, który kwitnąc wydziela specyficzną woń, którą potęguje rozległość stanowisk dochodząca nieraz do kilku hektarów. Od zamierzchłych czasów czosnek niedźwiedzi wykorzystywany był jako roślina lecznicza. Posiada on wyjątkowe właściwości bakteriobójcze i bakteriostatyczne. Używany jest także jako dodatek do potraw. Niestety, zanim osiągnie wiek dojrzały z nasion przeżywa tylko 1 do 10 %.

Kopytnik to roślina, którą prawdopodobnie zna każdy, jednak mało kto widział jej kwiaty. A wszystko dlatego, że są schowane pod liśćmi i wyrastają blisko ziemi. Nie jest to jednak przypadek – ich zapylaczami są mrówki, które raczej nie fruwać. Kwiat ułatwia im zadanie i wydziela specyficzny pieprzowy zapach, który pomaga owadom w szybkim dotarciu do celu. Liście kopytnika są zimozielone i pachną walerianą, co odstrasza zwierzęta od ich zjadania. Ludzie stosowali je jako środek wymiotny. Zdarzało się, że zniecierpliwione żony podawały je swoim nadużywającym alkoholu mężom. Powodowało to, że ci długo nie mogli nie tylko skosztować ulubionego trunku, ale nawet popatrzeć na niego.

Kalina koralowa to krzew podobny do białego bzu, jego kwiaty zaś przypominają kwiatostan hortensji. Kwiaty zewnętrzne wabią zapylacze, a kwiaty rosnące wewnątrz to właściwe owoce mające w dojrzałej postaci kształt koralu i mocny czerwony kolor. Nie są one zbyt chętnie zjadane przez ptaki, natomiast bobry i kuny żywią się gałązkami tego krzewu. Ludzie wykorzystują kalinę do produkcji powideł przeczyszczających, barwienia wody i wyrobu czerwonego atramentu. Kiedyś była także składnikiem mikstury powstrzymującej łysienie.

Dr Giża przedstawił jeszcze kilka ciekawych roślin występujących na naszym terenie, ale ponieważ jest ich blisko 200, nie sposób opowiedzieć o wszystkich podczas jednego wykładu. Chociaż trzeba przyznać, iż nikt ze słuchaczy nawet nie zauważył, że od początku spotkania minęły dwie godziny. Ci, którzy nie chcieli czekać na kolejny wykład, mogli nabyć książkę *Rośliny chronione w Sudetach*, w której dr Wojciech Giża opisał je wszystkie.

Krzysztof Tęcza

Uroczyste otwarcie wystaw stałych w Muzeum Przyrodniczym

W piątek 5 stycznia 2018 roku miała miejsce uroczystość otwarcia wystaw stałych w Muzeum Przyrodniczym w Jeleniej Górze. Wystawy te były budowane od 2014 roku i stopniowo oddawane do użytku, jednak oficjalna ich prezentacja publiczności nastąpiła dopiero teraz. Była to okazja do przedstawienia ich twórców – pracowników Muzeum, którzy dzięki swojej wiedzy doprowadzili do powstania ekspozycji na tak wysokim poziomie, że podziwiający je przedstawiciele innych podobnych placówek nie mogą wyjść z podziwu.

Dyrektor Muzeum Stanisław Firszt przedstawił pracowników, a także osoby i firmy, które wsparły te prace finansowo. Powitał przybyłych, a w szczególności posłankę Zofię Czernow i prezydenta Miasta Jeleniej Góry Marcina Zawilę.

Muzeum funkcjonujące wcześniej w Pawilonie Norweskim przeniesiono w 2013 roku do nowej siedziby – zespołu pocysterskiego w Cieplicach. To właśnie tutaj zaczęto budować nowe wystawy, dzięki którym możemy poznać m.in. świat grzybów,





owadów, ptaków i zwierząt; obejrzyć rogi i poroża, a także poznać historię obiektu, w którym się znajdujemy czy w końcu obejrzyć niesamowite freski barokowe zachowane na ścianach korytarzy. Znajduje się tutaj także Wirtualne Muzeum Barokowych Fresków na Dolnym Śląsku, powstałe na zlecenie Miasta Jelenia Góra w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego dla Województwa Dolnośląskiego na lata 2007–2013.

Liczba przybyłych świadczy o szerokim zainteresowaniu wystawami. Widzowie mieli okazję wysłuchać opowiadań twórców poszczególnych wystaw i poznać wiele zaskakujących ciekawostek ukrytych wśród eksponatów.

Oczywiście ta uroczystość nie oznacza końca tworzenia ekspozycji, wszak do zagospodarowania jest jeszcze jedna kondygnacja. I właśnie tam, na poddaszu, już są wystawiane kolejne eksponaty.

Krzysztof Tęcza



**Oferta wydawnictw
turystyczno-krajoznawczych
wydanych przez
Oddział Wrocławski PTTK**

Festiwal Przyjaciół z Gór w Kamienicy

Rok 1997 był ważny w historii polskiej turystyki górskiej. W połowie tego roku wykrystalizowała się idea Korony Gór Polski, a 13 grudnia tegoż zawiązał się Klub Zdobywców Korony Gór Polski. Podczas wyprawy klubowej do Zakopanego w czerwcu 2015 roku zapadły decyzje o uczczeniu jubileuszu XX-lecia Korony i Klubu.

Nasza grupa, skupiona pod szyldem Krajoznawcze Spotkania Rodzinne, a wywodząca się bezpośrednio z Klubu Zdobywców KGP, spontanicznie włączyła się w organizację jubileuszu, do czego zresztą zostaliśmy zaproszeni, a nawet zobligowani.

Nasza grupa jest bardzo rozśpiewana. Przy każdej okazji, nawet bez gitary Sławka, śpiewamy do upadłego, co jest często równoznaczne z „prawie do rana”. Więc gdy pojawiła się idea nagrania płyty z naszymi piosenkami, po prostu zaczęliśmy ją realizować. Jesienią 2016 r. Sławek wypracował koncepcję płyty, napisał scenariusz, z pomocą Mariana z Krakowa dokonał doboru piosenek i zorganizował nagranie w Żninie, w przyjaznych progach Żnińskiego Domu Kultury. Zaśpiewali: Bogda, Marysia, Agnieszka i Agnieszka, Wiktor, Marian, Wiesiek, Zbyszek, Romek i Sławek. Gościnnie wystąpili nasi przyjaciele z Pałuk – Joasia, Magda i 11-letni Wojtek. Efekt naszych działań – płyta i śpiewnik pod tytułem „Koronne Ognisko” – wzruszają członków klubu, choć są, niestety, bardzo mało profesjonalne. Co na naszą obronę? – tak się śpiewa przy ognisku, na żywo; my tak śpiewamy przy ognisku, w pokoju, gdzie się da, to nasze piosenki, piosenki jako żywo o nas, o naszych pasjach, marzeniach, pragnieniach.

A równolegle rodziła się idea jakiegoś niezwykłego, niespotykanego uczczenia jubileuszu Klubu i Korony! Tak się złożyło, że Sławek realizował w Radiu Żnin cykl audycji „W koronie po polskich górach”. A ponieważ chciał opowieści o górach ilustrować tamtejszą rodzimą muzyką, więc nawiązał wiele kontaktów z lokalnymi muzykami. W ten sposób poznał wielu artystów, wiele zespołów, z wieloma zaprzyjaźnił się. Był to ogromny potencjał, który w sprzyjających okolicznościach mógłby zostać wykorzystany do uświetnienia jubileuszu. Wielogodzinne rozmowy z artystami upewniały Sławka w przekonaniu, że istnieje realna szansa zaproszenia ich do występu podczas wyprawy jubileuszowej. W lutym 2017, w Żywcu, w czasie rozmowy z panem Janem Brodką, znakomitym żywieckim muzykiem i regionalistą (*nota bene* tatusiem Moniki), upewnił się o tym ostatecznie. Festiwal się odbędzie!

Sławek nadał mu nazwę „Festiwal Przyjaciół z Gór” i przekonał do niego szefa Klubu Zdobywców Korony Gór Polski – Łukasza Lisa. Ogromny wkład w organizację festiwalu wnieśli władze Gminy Kamienica z jej wójtem, dr. Władysławem Sadowskim na czele. Nieoceniony był wkład pana Mieczysława Marka, wybitnego muzyka, regionalisty, szefa Gminnego Ośrodka Kultury w Kamienicy oraz pani Barbary Matłęgi, właścicielki wspaniałego ośrodka „Dworek Gorce”, której decyzja o możliwości rozstawienia sceny na jej terenie ostatecznie przesądziła o sukcesie idei festiwalu. Bardzo zasłużył się w tym dziele nasz przyjaciel Marian z Krakowa.

Wyprawa jubileuszowa miała miejsce w Kamienicy w dniach 30 czerwca – 2 lipca 2017 roku. W programie było zdobycie szczytu koronnego – Mogielicy oraz inne atrakcje, m.in. prezentacja znaczka pocztowego wyemitowanego z okazji naszego jubileuszu, ale my czekaliśmy



Występ Zespołu Regionalnego Gorce z Kamienicy

na występy uznanych w Polsce, Europie i na świecie artystów. To był gwóźdź programu – Festiwal Przyjaciół z Gór!

1 lipca 2017 to bodaj najwspanialsza sobota spędzona przez nas w ukochanych górach, w gronie przyjaciół! Przyjechali wszyscy artyści zaproszeni przez Sławka i zaśpiewali nam tak, że nie da się tego słowami opisać. Między 15.30 a mniej więcej 22.00 wystąpili kolejno:

– Zespół Regionalny Gorce z Kamienicy, a właściwie jego – tak to nazwę – część dziecięca, pod kierunkiem pana Mieczysława Marka, który w stroju góralskim otworzył festiwal wspólnie z wójtem panem Władysławem Sadowskim i szefem Klubu Zdobywców KGP panem Łukaszem Lisem;

– Zespół Regionalny Juzyna z Zawoi, pod kierunkiem pani Wandy Buckiej;

– Zespół Regionalny Hajduki z Pewli Ślemieńskiej na Żywiecczyźnie, pod kierunkiem pani Franciszki Hajdus;

– Pani Julia Doszna, najwybitniejsza artystka łemkowska – Kolberg Łemkowski – ratująca kulturę łemkowską od zapomnienia, zaprzyjaźniona ze Sławkiem i jego przyjaciółmi z Beskidu Niskiego;

– Włodek Mazoń z przyjaciółmi, bard krakowski, poeta i muzyk z Krainy Łagodności, przyjaciel Sławka.

W programie festiwalu był jeszcze występ Reprezentacyjnego Zespołu Klubu Zdobywców KGP „Wiecznie Młodzi” – taką piękną nazwę przyjęliśmy podczas spotkania w Zgorzelcu. Planowaliśmy zaśpiewać piosenki z płyty „Koronne Ognisko”, ale intuicja podpowiedziała nam, że „niegodniśmy”.

Wróćmy do koncertów festiwalowych – coż to były za koncerty!

Występ Włodka Mazonia i jego przyjaciół



Występ Zespołu Regionalnego Juzyna z Zawoi



Występ Zespołu Regionalnego Hajduki z Pewli Ślemieńskiej



Występ Julii Dosznej



Podejrzewam, że żadna organizacja turystyczna nigdy nie doczekała się takich występów, takich artystów, ku swojej czci. Nam było to dane! Nie było wśród nas nikogo, kto nie zachwyciłby się artystem naszych przyjaciół z gór. Urzekły nas i wzruszyły wspaniałe, wręcz profesjonalne występy dzieci i nastolatków z zespołów Gorce, Juzyna i Hajduki. My jesteśmy ludźmi może jeszcze młodymi, choć w nieco zaawansowanym wieku, więc już rozumiemy znaczenie kultywowania tradycji, a to właśnie te zespoły robią, za co ogromna chwała tym młodym ludziom, ale przede wszystkim panu Mieczysławowi Markowi, pani Wandzie Buckiej i pani Franciszce Hajdus. To dzięki nim o przyszłość tradycji górali beskidzkich jesteśmy spokojni.

Zaczarowała nas, zupełnie oderwała od rzeczywistości, wręcz zahipnotyzowała, Julia Doszna. Wyśpiewała *a capella* cudowność kultury łemkowskiej, ukazała pieśniami i słowem powojenną tragedię swoich rodaków, urzekła prawdziwością i żarliwością. Znam wielu Łemków, zwłaszcza z Olchowca, napawają mnie nadzieją – to dzięki takim ludziom, jak Julia czy Mikołaj Gabło (prezes Stowarzyszenia Łemkowskiego), Łemkowie i ich kultura przetrwają. A do Krainy Łagodności – poezją i balladą poprowadził nas Włodek Mazoń, bard krakowski, obracający się w kręgach Piwnicy pod Baranami. Wiersze Włodka o życiu i miłości, zaśpiewane ciepłymi głosami przez niego i jego żonę przy dźwiękach gitar i harmonijki ustnej wprawiły nas w nastrój refleksji i zadumy, a zapadający zmierzch i światła sceniczne pulsujące barwami tęczy spotęgowały tylko nasze odczucia. Chciałoby się rzec – Włodek, potrafisz czarować, czaruj wiecznie! Szkoda, że nie zostałeś przy naszym ognisku. Pośpiewaliśmy potem nasze koronne piosenki... ale wyobraź sobie – gdybyście pozostali, cóż by to była za frajda, jakież niezwykle ukoronowanie niezwyklej przygody pod nazwą Festiwal Przyjaciół z Gór!

Gdy pogasły już światła sceny, nasi przyjaciele poodjeżdżali, a my wyśpiewaliśmy nasze repertuary, długo jeszcze w noc rozmawialiśmy o swoich wzruszeniach, odczuciach... Do dziś, przy okazji naszych spotkań rodzinnych – i nie tylko – wracamy wspomnieniami do tych pięknych, lipcowych chwil, wypełnionych muzyką, tańcem, poezją i balladą...

Czy coś takiego jeszcze nam się przydarzy? Przyszłość pokaże. Mnie pozostanie ogromna satysfakcja, że udało się coś tak niebywałego zorganizować; poczucie, że była to jedna z najwspanialszych przygód w moim życiu. I jeszcze coś – to najważniejsze – przyjaźń wspaniałych ludzi! To są prawdziwi PRZYJACIELE Z GÓR!

Sławomir Chojnacki

Król na Śledzikowej Polanie

Święto Trzech Króli to okres spotkań i odwiedzin. To czas miłej zabawy. Czasami jednak warto poświęcić kilka godzin, by wyjść na świeże powietrze i zaznać ruchu. Tak też uczynili w sobotę 6 stycznia 2018 roku turyści związani z organizowanym przez Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze Rajdem na Raty. Ponieważ w okresie zimowym (grudzień – luty) jest przerwa zimowa, turyści sami organizują krótkie wyjścia na spacer. Tym razem, choć jest to już zwyczajem, skrzyknęli się by pójść na Śledzikową Polanę znajdującą się na terenie Parku Krajobrazowego Dolina Bobru. Polana przygotowana jako miejsce wypoczynkowe dla mieszkańców Jeleniej Góry została wyposażona w sporą wiatę oraz miejsce na ognisko. Dzięki temu często można spotkać tam grupy wędrowców. Tym razem na spacer zgłosiło się piętnaście osób. Niestety, pogoda utrzymująca się od kilku dni spowodowała, że teren stał się bardzo mokry, a co za tym idzie – wszędzie było pełno błota. Dla prawdziwych turystów nie stanowiło to oczywiście żadnego problemu. Warto jednak zadbać, by nie przemoczyć butów. Dlatego tym razem



wszyscy udali się leśną drogą prowadzącą w stronę skałki Siodło. To tam można czasami zobaczyć ducha Siodlarza. Nie ma jednak czego się bać – nic nam nie robi.

Na polanie czekała nas niespodzianka. Najpierw poczuliśmy zapach dymu, a za chwilę zobaczyliśmy płonące ognisko. Okazało się, że inni ludzie wpadli na taki sam pomysł, jak my. Była to grupka osób związanych z Towarzystwem Miłośników Lwowa. Przywitani nas mile i dołączyliśmy do wspólnego ogniska.

Turyści zaścielili na stołach białe obrusiki i wyłożyli przyniesione ze sobą smakołyki. Każdy przygotował coś pysznego, coś wyjątkowego. Najważniejszym jednak momentem była konsumpcja babeczek. W jednej z nich został ukryty owoc. Okazało się, że trafił na niego kolega Henryk. I to on został Królem Polany Śledzikowej. Od tej pory mógł paradować w srebrnej koronie.

Osoby, które miały jeszcze w tym dniu dalsze plany, po ugaszeniu ogniska, ruszyły w stronę miasta, natomiast pozostali doszli do wniosku, że szkoda ładnej pogody i wyruszyli w dalszą wędrówkę. Udali się na skałki Trafalgar, gdzie niedawno zostały założone barierki pozwalające bezpiecznie stanąć nad urwiskiem, by podziwiać jak piękna jest Jelenia Góra. Warto tutaj przyjść o świcie, kiedy miasto wyłania się z porannych mgieł.

Po drodze do gościńca „Perła Zachodu” mogliśmy zobaczyć ogrom zniszczeń spowodowanych przez niedawną wichurę. Wiatr położył wiele potężnych drzew, które połamały barierki ustawione wzdłuż drogi. Pewnie trochę potrwa zanim zostaną wymienione na nowe.

Dalsza trasa prowadziła przez most na drugą stronę Jeziora Modrego i leśnymi drózkami w stronę Góry Gapy. Niestety, gdy byliśmy prawie u celu okazało się, że zapada zmrok. Nie było sensu ryzykować, że będziemy schodzić po ciemku. Czasami trzeba zachować rozsądek. Zeszliśmy w stronę torów kolejowych i ścieżką pod wiaduktem kolejowym dotarliśmy do miejsca, z którego rozpoczynaliśmy spacer.

Krzysztof Tęcza



Przewodnicy sudeccy gościli w Dworze Liczyrzepy

W poniedziałek 11 grudnia 2017 roku przewodnicy sudeccy spotkali się w restauracji Dwór Liczyrzepy w Karpaczu, gdzie wysłuchali prelekcji Piotra Gryszela o tradycjach kulinarnych Karkonoszy i Gór Izerskich. Bowiem, mimo iż wydawałoby się, że u nas nie istnieje kuchnia regionalna, coraz więcej restauracji sięga po stare przepisy. Wiele ciekawych dań podawanych jest do dzisiaj po czeskiej stronie Karkonoszy.

Niestety, w naszych restauracjach najczęściej serwowane są potrawy, które z kuchni regionalnej mają tylko stosowne słowa w nazwie. Nic bowiem, poza nią, nie łączy ich ani z Karkonoszami, ani z Górą Izerską. Dobrze jednak, że przynajmniej pojawiają się takie dania, bo może z czasem zagospodzą na stałe w naszej kuchni.

Dwór Liczyrzepy na życzenie organizatorów biesiady przygotował kilka omawianych potraw, aby wszyscy mogli sprawdzić, czy ich smak zgadza się z podanymi przez prelegenta przepisami.

Spotkanie w Karpaczu miało na celu nie tylko poszerzenie wiedzy z zakresu kuchni regionalnej. Było to zebranie sprawozdawcze Koła Przewodników Sudeckich działającego przy Oddziale PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze. Wybrano na nim delegatów, którzy wezmą udział w wyborach nowych władz przewodnickich.

Ze względu na wagę spotkania przybyli na nie członkowie Zarządu Koła Przewodników Sudeckich z Prezesem Piotrem Gryszelą, członkowie Zarządu Oddziału „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze z Prezesem Krzysztofem Tęczą oraz Prezes Zarządu Głównego PTTK Jacek Potocki, który także należy do Koła Przewodników Sudeckich.

Krzysztof Tęcza



Spotkanie Ludzi Gór na Kamieńczyku 2018

W poniedziałek 15 stycznia 2018 roku w szalasy Sielanka na Kamieńczyku miało miejsce doroczne „Spotkanie Ludzi Gór”. Uczestników powitał burmistrz Miasta Szklarskiej Poręby Mirosław Graf. Na spotkanie przybyli m.in.: Zofia Czernow – posłanka na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, Cezary Przybylski – marszałek Województwa Dolnośląskiego, Anna Konieczńska – starosta Powiatu Jeleniogórskiego, Stefan Cichy – biskup legnicki (senior), Andrzej Raj – dyrektor Karkonoskiego Parku Narodowego, Mirosław Górecki – prezes Grupy Karkonoskiej Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, samorządowcy i przedstawiciele firm turystycznych działających w regionie. Najważniejsi jednak byli „Ludzie Gór” – przewodnicy sudeccy, ratownicy górscy i osoby na co dzień działające dla potrzeb ruchu turystycznego. Gospodarzami, jak zwykle, byli państwo Sieleccy, którzy w podziękowaniu otrzymali od burmistrza Szklarskiej Poręby pamiątkową fotografię uczestników zeszłorocznego spotkania.

Spotkanie zostało poprzedzone odprawieniem krótkiej mszy koncelebrowanej przez biskupa Stefana Cichego, proboszcza Bogusława Sawaryna i ojca Zygmunta Mikołajczyka. Ksiądz biskup przekazał wszystkim kilka dobrych rad. Pierwsza z nich mówi, byśmy kierowali się w swoim życiu poszukiwaniem dobra, a unikali wszelkiego zła. Druga – by nie bać się tego, co nas czeka, nie bać się ciszy, ale stale uczyć się czegoś nowego. Trzecia – by modlić się i pracować, bowiem w pracy zawsze znajdziemy pociechę. Kolejna – zawsze być pogodnego ducha, by cieszyć się dobrem, które czynimy i którego doświadczamy. Ostatnia rada – nie narzekać, aby mieć życie radosne i szczęśliwe. Nigdy nie narzekać.

Najważniejszą częścią spotkania było wręczenie dorocznej Nagrody „Ducha Gór” przyznawanej przez Miasto Szklarska Poręba. W roku 2018 przyznano ją Zbigniewowi Bogaczykowi „Zbychełkowi”. Zbyszek to człowiek, który nie zna słowa „nie”, gdy trzeba zrobić coś dla społeczności. Jego działania promujące Szklarską Porębę podyktowane są życzliwością, sympatią, a przede wszystkim bezinteresownością i miłością do



tego miasta. Służą one budowaniu pozytywnego a zarazem mądrego wizerunku Szklarskiej Poręby. Zbyszek to legenda przewodników sudeckich, ale przede wszystkim ratownik GOPR, który swoją pasją oraz rzetelnym podejściem do pracy zaraża kolejne pokolenia wchodzące w działalność na rzecz gór.

Podczas spotkania wystąpił marszałek Województwa Dolnośląskiego Cezary Przybylski, który odniósł się do mającej nastąpić w kolejnym dniu prezentacji nowej inwestycji na Polanie Jakuszyckiej. Piotr Gryszel, prezes Koła Przewodników Sudeckich działającego przy Oddziale PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze, korzystając z obecności kolejnej legendy przewodnictwa w Karkonoszach, pani Krystyny Trylańskiej, nadał jej tytuł „Zasłużonego Przewodnika”. Marian Sajnog, w dowód wdzięczności za współpracę z działającą w Związku Gmin Karkonoskich Regionalną Pracownią Krajoznawczą Karkonoszy, przekazał na ręce jej kierownika (Krzysztofa Tęczy) białe kruki, którymi okazały się roczniki „Wierchów”.

Oprawę muzyczną spotkania tworzył zespół Bądź Ciszą a całość poprowadził, przebrany za Karkonosza, Maciej Stanisław.

Krzysztof Tęcza

Wystawa fotograficzna Tadeusza Biłozora „Symbole wiary i...”

W sobotę 13 stycznia 2018 roku w Gminnym Ośrodku Kultury w Mysłakowicach otwarto wystawę fotograficzną „Symbole wiary i...”. Autorem zdjęć jest Tadeusz Biłozor, urodzony we Lwowie, ale mieszkający w Jeleniej Górze. Od 1978 roku członek Jeleniogórskiego Towarzystwa Fotograficznego, z którym związał się najbardziej. Działa także w Ogólnopolskiej Grupie twórczej „ART-FOTO”, Fotoklubie Rzeczypospolitej Polskiej i Grupie Twórczej Euroregionu „Nysa”. Jest autorem ponad 50 wystaw indywidualnych oraz uczestnikiem ponad 370 wystaw zbiorowych w kraju i zagranicą. Udziela się także jako komisarz i organizator konkursów i plenerów fotograficznych. Jest współautorem katalogów i albumów fotograficznych, a także biuletynu „Obiektywem JTF-u”, organizacji, w której przez dwie kadencje pełnił funkcję prezesa.

Tadeusz Biłozor za swoją działalność fotograficzną został wyróżniony m.in. Odznaką „Zasłużony Działacz Kultury” i Złotym Medalem „Zasłużony dla Fotografii Polskiej”. W 2003 roku Kapituła Fotoklubu Rzeczypospolitej Polskiej, stowarzyszenia twórców, przyznała mu status artysty fotografa, a w 2009 roku został honorowym członkiem Jeleniogórskiego Towarzystwa Fotograficznego.

Tym razem Tadeusz Biłozor przedstawił kilkadziesiąt fotografii prezentujących symbole wiary. Przede wszystkim są to stuły. Na zdjęciach możemy zobaczyć je w ciekawych aranżacjach i sprawdzić, że bywają nie tylko tajemnicze, ale po prostu ładne. Uzupełnieniem są fotografie obiektów sakralnych, zarówno z naszego terenu, jak i z innych miejsc w Polsce. Autor co prawda nie podpisał swoich prac, ale sporo osób odgadywało, gdzie znajdują się zaprezentowane obiekty.

Prace były na tyle ciekawe, że co chwilę ktoś podchodził do pana Tadeusza, by porozmawiać o wystawie czy warsztacie fotograficznym. Okazało się, że wielu z gości robi zdjęcia o podobnej tematyce, oczywiście nie w tak dużej ilości. Dzięki bezpośredniej rozmowie mogli oni skorzystać z fachowych porad autora wystawy.

W otwarciu uczestniczył wójt gminy Mysłakowice Michał Orman, który wraz z Parafią pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Mysłakowicach objęli wystawę patronatem honorowym. Całość poprowadził dyrektor GOK Grzegorz Truchanowicz, a wśród gości pojawił się Emil Pyzik – Honorowy Obywatel Gminy Mysłakowice.

Krzysztof Tęcza



Bochniaków mała ojczyzna

Trudno recenzować książkę, gdy z góry wiadomo, że jej mankamenty redakcyjne lub drukarskie są najmniej ważne, bo decyduje jej zawartość i obrany cel – przede wszystkim zaspokojenie oczekiwań czytelnika. Tu akurat wydawca sytuację miał jasną, a pewnie jedynym ograniczeniem były posiadane środki.

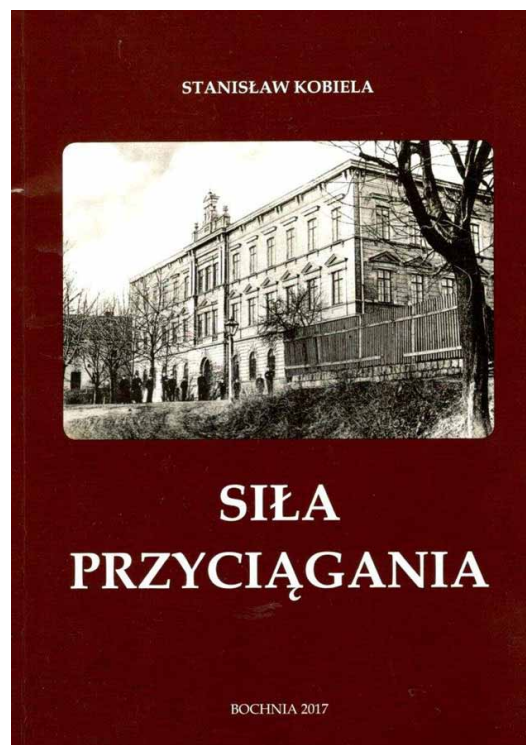
Książka jest niszowa, nie może być inna, dokumentuje bowiem dzieje Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Kazimierza Wielkiego w Bochni oraz Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej. Dla tego środowiska publikacja ważna, niemal jak Biblia. Kwalifikuje się do publikacji wydawanych w ramach ojczyzn „prywatnych”. W socjologii termin znany, oznaczający pewien nieokreślony obszar, szczególnie bliski członkom społeczeństwa. Jak wielka może być taka ojczyzna? Może być regionem, miastem, gminą, wskazującymi na związek mieszkańców z kulturą danego obszaru. Tak jest i w tym przypadku, jednak nie mamy tu zjawiska zasklepiania się, przeciwnie – osoby utożsamiające się ze swoją szkołą lub należące do Stowarzyszenia wypłynęły w świat i świadczą swoją osobą o środowisku, z którego wyszły.

Po takim wprowadzeniu już wiadomo, że zajmę się treścią publikacji w tym dobrym znaczeniu, bo dokumentowanie dziejów szkoły i Stowarzyszenia ma walor oczywisty. Układ książki jest prosty, dwuczęściowy.

Pierwsza część dotyczy dziejów szkoły, profesorów i absolwentów. Jest o czym pisać, gdyż szkoła obchodziła dwusetlecie istnienia. Absolwenci zapisali się w historii swojego miasta, regionu, kraju. Wychowywani w duchu polskim brali udział w powstaniach, organizacjach paramilitarnych, jak Związek Walki Czynnej, Związek Strzelecki, Drużyny Bartoszwowe, szli do Legionów, bronili Lwowa, walczyli w 1920 r. z bolszewikami i w obu wojnach światowych. Byli obserwatorami tego ponurego świata, kiedy trzeba było stawiać czoła ideologii, rozprawom publicznym przeciwko swoim profesorom i gloryfikacji wiodącej roli partii, działaniom wzorowanym na sowieckim Komsomole. Dzieje szkoły to nic innego, jak historia naszego kraju, tyle że na przykładzie jednostkowym.

Kusząca jest możliwość wspomnienia niektórych osób, przynajmniej tych, dla których góry, jak i ziemie podgórskie miały szczególne znaczenie w ich własnej biografii, ale nie tylko. Kogóż tu zauważyłem?

Uczniami bocheńskiego gimnazjum i profesorami (nie rozgraniczam) byli m.in. przywódcy powstania chochołowskiego z 1846 roku – Jan Kanty Andrusikiewicz i ks. Leopold Kmiotowicz oraz emisariusz Mikołaj Kański. Znany poeta i pisarz, prekursor literatury *science fiction*, współzałożyciel TOPR Jerzy Żuławski redagował legionowe pismo „Do broni”. Inżynier Jan Słuszkiewicz i Józef Wimmer kierowali pracami budowlanymi słynnej Drogi Legionów w Gorganach. Ostatnim komendantem Armii Krajowej był gen. Leopold Okulicki. Tadeusz Popek to jeden z założycieli Konfederacji Tatrzańskiej, który jako jedyny dokonał brawurowej ucieczki z katowni Palace w Zakopanem. Ireneusz Iredeński – prozaik, dramaturg, poeta, scenarzysta, twórca słuchowisk radiowych. Wiktor Arvay – prezes Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Tarnowie, historyk, pedagog o korzeniach węgierskich. Aleksander Błażejowski – autor pierwszego polskiego kryminału, pisarz i dziennikarz. Prof. Franciszek Bujak – twórca nowego kierunku historii gospodarczej Polski, nieakceptowany przez historyków marksistowskich. Gejza Bukowski von Stolzenburg – światowej sławy geolog, kartograf, paleontolog. Karol Frycz – malarz, świetny karykaturzysta, ojciec polskiej nowoczesnej scenografii, reżyser teatralny. Książd Walenty Gadowski – twórca „Orlej Perci” w Tatrach i „Sokolej Perci” w Pieninach, prezes Sekcji Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego. Prof. Roman Grodecki hrabia Poraj, mediewista, który



m.in. przełożył i przygotował do druku kroniki Galla Anonima, Wincentego Kadłubka czy Jana Długosza. Stefan Jaracz – aktor teatralny, filmowy i reżyser. „Józek z Dunajca” czyli Józef Kantor – etnograf, znawca gwaru podhalańskiej, pisarz i poeta, autor monografii „Czarny Dunajec”, antologii „Tatry w poezji polskiej”, studium „Pieśń i muzyka ludowa Orawy, Podhala i Spisza”, który angażował się w odzyskanie Spisza i Orawy dla Polski. Jerzy Katlewicz – wybitny dyrygent, pedagog, pod którego batutą po raz pierwszy wykonano utwór Wojciecha Kilara „Siwa mgła” poświęcony Mieczysławowi Karłowiczowi w 70. rocznicę jego śmierci. Eugeniusz Kiernik – zoolog i paleozoolog, który prowadził m.in. badania w jaskiniach tatrzańskich, badał także faunę Bałtyku, a wraz z prof. Szaferem utworzył Komisję Ochrony Przyrody. Wacław Korta – profesor mediewista, który badał dzieje Śląska, wyjaśnił tajemnicę Góry Ślęży – „śląskiego Olimpu”. Edmund Łasiński – wynalazca udźwiękowienia filmów (czyli synchronizacji dźwięków z obrazem na taśmie filmowej), filmu trójwymiarowego, lampy fluoryzującej (znanej nam świetlówki). Władysław Mucha – żołnierz września 1939 i uczestnik francuskiego ruchu oporu, który zbudował według własnego pomysłu nowoczesny browar w Nowej Kaledonii, a za stworzenie sieci browarów na Tahiti otrzymał francuski *Medaille du merite colonial*. Witold Nowicki – znakomity anatomopatolog, inicjator Muzeum Higieny we Lwowie; przeprowadził sekcję szczątków króla Jana III Sobieskiego, rozstrzelany przez gestapo na Wzgórzach Wuleckich. Ryszard Ordyński – aktor, reżyser sztuk Szekspira, scenarzysta (kręcił filmy z Polą Negri, czy Charliem Chaplinem), dyrektor Metropolitan Opera House w Nowym Jorku. Bronisław Romaniszyn – znawca Podhala i góralszczyzny, członek komisji delimitacyjnej na Spiszu i Orawie; walczył o ochronę ryb w rzekach górskich, wraz z Mariuszem Zaruskim, Aleksandrem Znamięckim i Stanisławem Gąsienicą-Byrcynem zdobył Jaskinię Juhaską pod Giewontem; współautor tzw. protokołów krakowskich z 1924 r. dających podstawę do utworzenia parków narodowych w Tatrach, na Babiej Górze i Pieninach. Lucjan Rydel – okulista, ojciec krakowskiej szkoły okulistycznej, wynalazł płyn do oczu dozowany pipetką, którą nazwał zakraplaczem; ojciec Lucjana Rydla – pierwowzoru pana młodego z „Wesela” Wyspiańskiego. Władysław Skoczylas – malarz, grafik, twórca polskiej szkoły drzeworytu, uczył rysunku w Zakopiańskiej Szkole Przemysłu Drzewnego. Roman Stopa, afrykanista, wykładał języki afrykańskie, jako pierwszy na świecie odkrył i opisał język mlasków Hotentotów. „Kolberg z Targowiska” czyli Jan Świętek – etnograf, autor dzieła „Lud Nadrański” opisującego dwadzieścia wsi po obu brzegach Raby. Tadeusz Wilczyński – botanik, znawca flory Karpat Wschodnich, autor prac naukowych „Zapiski florystyczne z Karpat Pokuckich”. Władysław Ziętkiewicz – taternik, pionier narciarstwa wysokogórskiego, legionista, który wraz z Mieczysławem Świerzem przeszedł południową ścianę Zamarłej Turni i Piarżyste Czuby oraz walczył przyczynił się do wybudowania schroniska „Murowaniec” na Hali Gąsienicowej. Nie sposób w tak krótkim omówieniu wspomnieć innych, dokonałem więc subiektywnego wyboru mając nadzieję, że zachęcę do zapoznania się z publikacją.

Druga część książki poświęcona jest dziejom Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej, założonego w grudniu 1935 r. jako Zrzeszenie Bochniaków. Jego koła powstały we Lwowie, Wilnie, Poznaniu, Łodzi, Katowicach, Bochni i Krakowie, a placówki w Bydgoszczy, Ciechanowie, Kielcach, Starachowicach, Lublinie, Przemyślu, Grodnie, Słonimie, Stanisławowie, Drohobyczu, Kosowie Pokuckim, Kołomyi i Bohorodczanach. Podczas wojny i okupacji utworzono koło w środowisku polskich oficerów internowanych w oflagu VII A Murnau, co było niewątpliwie fenomenem w historii obozów jenieckich.

W czasach pogardy – w październiku 1952 r. – Zrzeszenie zlikwidowano a reaktywowano dopiero po odwilży październikowej 1956 r. W 1959 r. połączyło się ono ze Stowarzyszeniem Miłośników Ziemi Bocheńskiej. Fuzja stworzyła możliwość wydawania drukowanego na powielaczu własnego miesięcznika pt. „Komunikaty”. Oczywiście podlegał cenzurze, ale integrował bochniaków i mobilizował ich do pisania. Reaktywowały się oddziały w Warszawie, Krakowie, Katowicach i Bochni, z czasem w innych miastach, niestety nie wznowiły już działalności oddziały i placówki na utraconych ziemiach wschodnich. Wspomnieć należy jeszcze o jednym znamienym momencie, gdy na czas stanu wojennego wojewoda tarnowski zawiesił Stowarzyszenie.

Współczesne dzieje przedstawione zostały rzetelnie i trochę żal, że z braku miejsca nawet o nich nie wspomnę. Mam świadomość, że książkę napisali bochniaczy, wydali bochniaczy i tak do końca nie jestem przekonany, czy nie przeznaczili jej tylko dla bochniaków. To znakomity przykład dla innych dokumentujących historię swoich małych ojczyzn, by nie trzymali jej w przysłowiowej szufladzie. Chylę głowę przed autorem tego dzieła, Stanisławem Kobielą – wykonał znakomitą pracę.

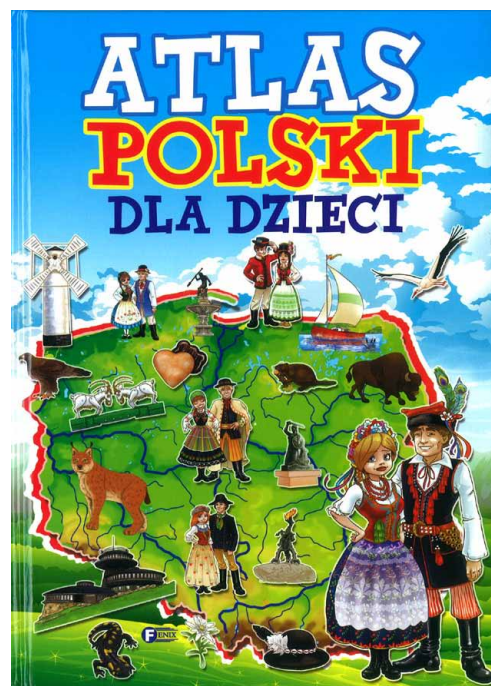
Ryszard M. Remiszewski

Stanisław Kobiela: „Siła przyciągania. Z dziejów Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Kazimierza Wielkiego w Bochni i Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej”, Bochnia 2017, s. 238

Elementarz krajoznawczy (bez górali!)

Brakowało takiej książeczki z obrazkami pokazującymi dzieciakom nasze regiony na mapie Polski. Piotr Kotecki – autor rysunków i tekstów zapewnia: *Dzięki temu wspianiemu atlasowi najmłodszy wybierze się na pierwszą w swoim życiu samodzielną podróż po Polsce. Z każdą stroną książki będą bogatsi o wiedzę o coraz to innych rejonach naszego kraju [...].* Pomyśl z rzędu ciekawych i zrealizowany w znacznej części atrakcyjnie, kolorowo, przejrzyście. „Atlas” pokazuje setki przykładów, jak ta Polska wygląda. Jeśli ktoś nieletni będzie go oglądał, na pewno przyda się pomoc kogoś starszego, zgodnie z hasłem *Cała Polska czyta dzieciom*.

Książeczka ma skromne rozmiary, zaledwie 30 rozdziałów w twardych kolorowych okładkach. 32 bardzo kolorowe strony są wypełnione krótkimi tekstami, urozmaiconymi barwnymi podkreśleniami nazw, jak np. pasm górskich – Karpat (5 pasm), Sudetów (14 pasm) i Gór Świętokrzyskich (s. 11). Każda strona z mnóstwem ilustracji, z zasady na tle mapy (fizycznej) naszego kraju. W ten sposób przejrzyście pokazany jest dany temat, np. rzeki, morza i jeziora, parki narodowe i krajobrazowe, regiony kulturalne i historyczne. Ale nie wszystkie – tylko Pomorze, Warmia i Mazury, Podlasie, Wielkopolska, Mazowsze, Małopolska (bez Zakopanego i górali!!!) oraz Śląsk. Ten zestaw regionów zamyka mapa turystyczna, na której górali, góralszczyznę i Podhale symbolicznie reprezentuje kapelusz z kostkami i (tradycyjnie, błędnie) „orlim” piórem po prawej stronie.



Na okładce i na stronie 30 region tatrzański, oprócz kapelusza, symbolizuje siwa szarotka alpejska. Rozdział „Zwierzęta i rośliny” (s. 16–17) reprezentuje wspomniana szarotka i goryczka (gencjana), północne okolice kraju – tylko miłokajek nadmorski, a sasanka to symbol pozostałych okolic nizinnych. O wiele bogatsza jest reprezentacja zwierząt – 13 gatunków, ale 4 z południa Polski (a to wilk, niedźwiedź, salamandra plamista i ryś). Na s. 14 mapkę uzupełniają znaki-symbole 23 naszych parków narodowych oraz wzmianka o 120 parkach krajobrazowych. Podobnie, ale bez podania liczby, wspomniane są rezerваты przyrody, chronione rośliny i zwierzęta oraz pomniki przyrody (nieśmiertelnym reprezentantem tych ostatnich jest podparty gęstym rusztowaniem dęb Bartek z Zagnańska). Ale pomiędzy kilkudziesięcioma gatunkami chronionych i zagrożonych roślin nie ma limby.

Wśród ciekawostek ze stolicy nie zasłużył na wymienienie Zamek Królewski, Grób Nieznanego Żołnierza, ani Trasa W-Z, za to jest wzmianka o „niece” byłego Stadionu Dziesięciolecia, którą zajmuje obecnie PGE Stadion Narodowy. Zagadka, co to jest PGE – pozostaje tajemnicą.

W informacjach o Krakowie, dawnej siedzibie królów Polski, jest wzmianka o pomniku Smoka Wawelskiego, ale za to nie ma ani słowa o Pomniku Grunwaldzkim, Kopcu Kościuszki czy ołtarzu Wita Stwosza w kościele Mariackim (wspomniano o nim na s. 28) i granym z jego wieży hejnał. Na następnych stronach zaprezentowano dzieciakom „Regiony kulturalne i historyczne”, ale wizerunki ich przedstawicieli powodują ból zębów, zwłaszcza „urokliwe” dziewczęta, których uśmiech i oczy, a raczej „oczęta” to wspiane karykatury, wprost „do zakochania”. Przynajmniej twarze chłopaków jako tako pasują do całości ich postaci.

Wielkopolskę reprezentują Bambrzy, bez słowa wyjaśnienia kim byli, bo teraz nawet ze świecą ich nie spotkamy (podobnie jak Olędrów).

Wśród polskich krain i regionów wymieniono Mazowsze z Kampinoskim Parkiem Narodowym. „Atlas” podaje (s. 27), że *tutaj też znajduje się dworek w Żelazowej Woli, gdzie urodził się Fryderyk Chopin*. Wierutna bzdura, gdyż ta miejscowość leży poza granicami KPN, dokładnie w gminie Sochaczew. W Płocku natomiast jest bazylika i Muzeum Diecezjalne, ale nie ma wielkiej rafinerii. A o tym, że na mazowieckich Kurpiach w Nowogrodzie znajduje się jeden z najstarszych (od 1929 r.) polskich skansenów – ani słowa.

Być może dzieci podpowiedzą autorowi, że we Wrocławiu można obejrzeć „Panoramę Racławicką”, że na ulicach miasta stoją figurki około 350 krasnali, a na Rynku – pomnik Aleksandra Fredy, zaś opodal Katowic w Chorzowie mamy Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku im. gen. Jerzego Ziętka i Stadion Śląski. O tym też nie dowiemy się z „Atlasu”. A co do krainy „Śląsk” (s. 29), to wyliczając góry: Karkonosze, Stołowe, Sowie i Masyw Śnieżnika wypadałoby napisać, że są one na Dolnym Śląsku (i dodać odsyłacz do s. 13).

Nic mnie tak nie ubawiło, jak zaznaczone na „Mapie turystycznej” (s. 30) położenie Słupska – na północ od... Białegostoku. I to jeszcze rysunek podpowiada, że przeniósł go tam... bocian bardzo licznie gniazdujący na Podlasiu. Na tej samej s. 31 autor napisał, że *Polska obfituje w wiele unikatowych elementów przyrody żywej i nieożywionej*. To

prawda, ale jeśli wymieniono Puszczę Białowieską i Tatry, to dlaczego zapomniano o Przełomie Dunajca w Pieninach i spływie (atrakcji turystycznej i absolutnym unikacie krajobrazowym w skali europejskiej)? Jednak moje rozbawienie z powodu błędów rzeczowych, to „małe piwo” w porównaniu z robieniem „krajoznawczej wody z mózgu” dzieciakom korzystającym z tej publikacji. Mamy np. wzmianki (takie, jak na s. 31) o uprawianiu sportów zimowych i letnich w polskich górach, ale marginalnie wymienia się tylko 4 spośród 45 polskich uzdrowisk, podczas gdy wcześniej, na s. 15, wspomniano o 23 parkach narodowych i 120 krajobrazowych.

Na tylnej stronie okładki „Atlasu Polski dla dzieci” do autorstwa ilustracji i jej wizerunku przyznaje się Piotr Kotecki, zapewne również redaktor i wydawca, czyli P.H.W. Feniks z Bełchatowa. Aż mnie korci, żeby spytać, dlaczego na żadnej mapce nie ma tak znakomitych dzieł antropogenicznych jak Bełchatowskie Zagłębie Węgla Brunatnego i gigantyczna elektrownia w tym samym Bełchatowie, a wzmiankowana jest tylko kopalnia w Wieliczce. Nie ma Kanału Augustowskiego, ani kolejki na „święty Kasprowy Wierch”, a w Małopolsce nie zaleca do zwiedzania Zakopanego (s. 28). Na panoramicznych obrazkach u dołu stron 9 i 13 doszukałem się maleńkiego krzyżyka na szczycie Giewontu, ale nie na tej części masywu, na którym 17,5-metrowa budowla stoi już ponad 115 lat. To fantazja autora czy niedoróbka korektora/ki?

Na s. 22 na mapce „Regiony kulturalne i historyczne” pokazano, że w „worku bieszczadzkim”, na południowo-wschodnim krańcu Polski zamieszkują Łemkowie i... Bajkowie (tak!), czyli grupy *etnograficzne* (chyba etniczne?), które charakteryzują się *swoistymi cechami kulturowymi*. Brawo! Wydanie „Atlasu Polski dla dzieci” to – jak by nie patrzeć – spory wysiłek autorów i niemałe zapewne koszty, szkoda więc, że w jego treści znaleźć można osobliwości krajoznawcze „wyższej klasy”, niestety całkiem zbędne i po prostu niezrozumiałe dla kilkuletniego czytelnika. A jemu też się należy szacunek i usługa oświatowa, a nie partactwo krajoznawcze. Autorowi wypada przypomnieć, że w ustawie z 2005 r. o mniejszościach narodowych i etnicznych w Polsce, wymieniono ich 18, ale nie ma wśród nich Bojków, a tym bardziej „Bajków”...

Oglądanie mapek i ich treści ujawnia czasem godne ubolewania błędy i niedoróbki. Na 9 mapkach znajdziemy Toruń, nawet z dodatkiem pierników, ale bez pomnika Kopernika (choć jest u dołu na s. 8 opodal warszawskiej Syreny, i na s. 30 dlatego, że na 31 zabrakło dla niego miejsca). W okolicach Krakowa narysowano 2 pomniki zięjące ogniem smoka. We Fromborku autor poleca do zwiedzania bazylikę, ale także zapomniał o pomniku Kopernika na Podwalu. Skromny z konieczności opis Warmii i Mazur na s. 24 pomija dwa pomniki Kopernika w Olsztynie. Na sąsiedniej s. 25 poświęconej Podlasiu wspomniana jest Biebrza jako *jedna z największych rzek w Polsce*, ale o tym, że jest ona osią największego w Polsce Biebrzańskiego Parku Narodowego, który według autora jest *do zwiedzania* – nie napisano ani słowa.

Tymczasem *XV-wieczna renesansowa twierdza królewska Zygmunta Augusta* w Tykocinie zalecana do zwiedzania, to odbudowany kilka lat temu przez prywatnego inwestora (kosztem 12 mln zł) zamek nad Narwią. Ani słowa nie ma o ustanowieniu w Tykocinie w 1705 r. najwyższego polskiego odznaczenia – Orderu Tykocińskiego, czyli Orderu Orła Białego, o czym przypomina pomnik przy małej bocznej ulicy 11 Listopada. Na zakończenie warto tylko wspomnieć, że język, którym napisano „Atlas Polski dla dzieci” jest dla przeciętnego kilkulatek, zaopatrzonego w wyświetlacz telefonu komórkowego, po prostu tak bardzo „przewodnikowy” i „literacki”, że nie do zrozumienia. Innymi słowy: bez osoby dorosłej jako przewodnika „Atlas” jest mało użyteczny. Niestety, zapowiedziane na wstępie publikacji wzbogacenie młodych czytelników o wiedzę krajoznawczą okazało się pobożnym życzeniem. A szkoda.

Tomasz Kowalik

„Atlas Polski dla dzieci”, Piotr Kotecki (ilustracje i projekt okładki), redakcja Studio Feniks, Przedsiębiorstwo Handlowo-Wydawnicze Feniks, Bełchatów (brak roku wydania)

NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.

Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki"

przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Korekta: **Dorota Dembkowska**
Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: **Juliusz Wystouch**



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931